

Jechali na zachód osadnicy

— Może na zawsze, może — powtarzali, la-
mał im się głos, ukradkiem sięgali dłońią do
oczu. To znów cielęciu smarowali gębusie
krowieństwem, by nie ulegało tam, na nowej
ziemi, czarom, by zdrowo się chowało.

(BOLESŁAW WOJEWÓDZKI)

**Spory nie tylko
o pieniądze**

— Skoro na rynku występują różne
braki, skoro dostarcza się towar nieod-
powiedniej jakości, to wniosek stąd
prosty, że producenci nie dotrzymują u-
mowy. A handel jakoś nie dochodzi
swoich praw.

(ROZMOWA Z PREZEMEM ŁÓDZKIEJ
OKRĘGOWEJ KOMISJI PAŃSTWOWE-
GO ARBITRAŻU GOSPODARCZEGO)

**Bardzo błędne
koło**

W biurze obsługi klienta sie-
dzi dwóch mężczyzn.
— Czemu tak pusto? — pytam.
— Dzięki usprawnieniom.
— Nowa organizacja pracy —
dziwi się.
— Normalna. Nie mają części
zamiennych i nie wykonują ba-
dań diagnostycznych więc ludzie
przestali tu przyjeżdżać.

(EUGENIUSZ IWANICKI)

**Polligon
brytyjskich
armii**

Jednomyślnie z jaką katolicką
wszelkich poglądów politycznych
żądają wycofania wojsk brytyj-
skich, świadczą iż nie oczekują
oni od tych żołnierzy obrony,
gdyby protestanci urządzili po-
grom.

(JERZY CZECH)

EUGENIUSZ
IWANICKI

**BARDZO
BŁĘDNE
KOŁO**

Ulica Pokładowa. Szary ranek, z
ołowianym niebem nad głową. Siąpi
dokuczliwy, zimny deszcz. Przed Au-
toryzowaną Stacją Obsługi Samocho-
dów-1 stoi dwadzieścia siedem
„maluchów”. W biurze obsługi klien-
ta — tłok, jak w dniu targowym w
Łęczycy. Poczekalnia jest malutka,
wszyscy się nie mieszczą, więc część
interesantów siedzi w samochodach,
część moknie na dworze rozgrzewa-
jąc się papierosami.

— Cholera! — klnie wymuskany
młodzien, wystrojony jak do ślubu.
— Mam ważną imprezę, a tu jak na
złość przestała ładować prądnicą.

— Zdażysz pan — odzywa się męż-
czyzna w grubym golfie usiłując
schronić się przed deszczem pod okap
budynku. — Impreza nie ucieknie, a
kolejka obowiązuje.

— Nie chcę poza kolejką, tylko że-
by szybciej zrobili. Wie pan — za-
czyna nagle się zwierzać — jadę do
Kalisza, brat się żeni, a ja mam być
drużba.

— Nic z tego — mówi ktoś — jak
się psuje samochód w drodze, z we-
sela nici.

— To brat się żeni, nie ja...
— Ja nie o tym. Jak wyjedziesz
pan stąd pod wieczór, to będzie do-
brze. Patrz pan, ile wozów czeka w
kolejce.

— Ależ ja naprawdę muszę...
Gromadka mężczyzn jest raczej po-
nura i obojętna: w ten zimny i mok-
ry ranek ludzie są naburmuszeni,
spieci, gotowi rzucić publicznym
słowem, skorzy do złości, do sprze-
czek.

— Zeby tak choć jakaś poczekal-
nia...

— Ani kawiarni tu, ani baru...
— U nas tak zawsze: wystawia ja-
kąś prowizorkę i tak zostaje.

— Możesz pan jechać na Puszk-
na, tam ponoć jest kawiarnia.
— Sam pan jedź. Wolę zmoknąć,
byleby mi tu zrobili. Do tamtych
nie mam zaufania.

Mijają godziny. Zazdrościmy tym,
co są w środku, przynajmniej nie
mokną. Co chwila mechanicy zabie-
rają czyjś samochód na stanowiska
naprawcze. Szlaban unosi się wpusz-
czając wozy na dość przestronne
podwórce zapchane „maluchami”.
Część z nich to te, które zostały za-
brane w pierwszej kolejności, a te-
raz, po naprawie i przeglądzie cze-
kają na właścicieli. Ale na Pokłado-
wej krócej trwa naprawa niż obieg
dokumentów.

— Co za organizacja — piekli się
szykowna pani, obiekt naszego po-
dziwu od dwóch godzin. — Przez bra-
mę widzę swój samochód na placu,
a rachunek jeszcze nie jest wysta-
wiony.

Kilku panów zgłasza chęć inter-
wencji.

— Nie ma sensu — wydyma usta
— Ponoć gdzieś tam, w innym bara-
ku, wystawianiem rachunków zajmu-
je się tylko jeden człowiek.

Usługi, jakie świadczy ASOS-1 na
ul. Pokładowej obejmują: blachar-
stwo, lakiernictwo, naprawy silników,
skrzyń biegów, przedniego zawiesz-
nia, zabezpieczanie antykorozyjne, a
także wymianę całych nadwozi (po
uprzednim stwierdzeniu przez PZU,
że na skutek uszkodzeń powypadko-
wych karoseria nie nadaje się do
użytku). Te ostatnie usługi są świad-
czone dość szybko: na karoserię do
„Flata 126 p” czeka się nie dłużej
niż dwa tygodnie.

Stacja na Pokładowej, jak więk-
szość innych, cierpi na brak niektó-
rych części do samochodów. To prze-
dłuża okres napraw. Bo co z tego, że
w ciągu dwóch tygodni klient o-
trzyma nową karoserię, skoro parę
miesięcy musi czekać na akumula-
tor. Kiedy wreszcie akumulatory na-
dejdą, to z reguły okazują się do-
niczego, bo ktoś tam ładując je pod-
łączył biegun plusowy do minusowe-
go i odwrotnie. Tak więc kilka do-
brych egzemplarzy, jakie pojawiają
się w stacji, są kroplą w morzu po-
trzeb. Dlatego na łódzkiej giełdzie
akumulatory osiągają tak zawrotne
ceny.

W tej chwili ASOS-1 przy ul. Po-
kładowej nie sprawia na przybyśzu
najlepszego wrażenia. Od paru mie-
sięcy trwa remont głównego budyn-
ku, pomieszczenia biur są rozrzucone
w kilku miejscach, plac jest ułany
rurami, cegłą i deskami. Jeśli doda

tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy

Łódź

NR 41 (1140) ROK XXII

14 PAŹDZIERNIKA 1979 R.

CENA 3 ZŁ



Podczas dyżuru.

Foto: R. Łucyszyn

W SŁUŻBIE SPOŁECZEŃSTWA

**Rozmowa z Komendantem Wojewódzkim Milicji Obywatel-
skiej w Łodzi płk. mgr. KAZIMIERZEM KRAUPE**

— Towarzyszu Komendancie, trzydziesta piąta
rocznica powstania Milicji Obywatelskiej i Służby
Bezpieczeństwa skłania do szerszych refleksji na
temat roli MO i SB w umacnianiu praworządno-
ści, zapewnianiu społeczeństwu pełnego bezpie-
czeństwa.

— Istotnie, kiedy 35 lat temu, 7 października
1944 roku, Polski Komitet Wyzwolenia Narodo-
wego specjalnym dekretem powołał do życia Mi-
licję Obywatelską i Służbę Bezpieczeństwa, front
działania tego aparatu, związanego z masami
pracującymi i powołanego przez nie do służby,
był bardzo szeroki. Walka z podziemną dywersją,
ochrona życia obywateli, zapewnienie ładu, po-

rządki i bezpieczeństwa, zabezpieczenie mienia
społecznego, umacnianie praworządności. A czasy,
jak widać, nie były wtedy spokojne. W latach
1944—47 straciło życie blisko trzy tysiące funk-
cjonariuszy MO i SB.

Nie przesadzę ani trochę, jeśli powiem, że
dziś żyjemy w jednym z najspokojniejszych kra-
jów na świecie. Przestępczość w Polsce, w prze-
liczeniu na sto tysięcy mieszkańców jest siedmio-
krotnie mniejsza niż w Stanach Zjednoczonych,
sześciokrotnie mniejsza niż w takim małym kra-
ju jak Dania, pięciokrotnie mniejsza niż w RFN.

— Co przede wszystkim wpłynęło na ów
wzrost bezpieczeństwa i porządku publicznego?

— Stale doskonaląc aparat ścigania, organa
MO i SB, zgodnie z zasadami socjalistycznego hu-
manizmu, kładą główny nacisk na profilaktykę,
na zapobieganie przestępczości, na usuwanie
czynników sprzyjających powstawaniu prze-
stępstw. Ta profilaktyka stanowi wychowawczą
funkcję socjalistycznych organów ochrony po-
rządku publicznego.

— Jak kształtuje się stan bezpieczeństwa i
porządku publicznego w Łodzi i województwie?

— Oceniając z perspektywy minionych 35 lat
skomplikowany problem walki z przestępczością,
utrzymaniem bezpieczeństwa i porządku publicz-
nego w mieście i województwie mogę z pełną
satisfakcją stwierdzić, iż w tej dziedzinie nastę-
puje systematyczny postęp. Wszelkie próby wro-
giej działalności politycznej jak również próby
penetracji różnych ośrodków wywiadowczych są
paraliżowane w zarodku. Wskutek odpowiednich
działań milicji nastąpiły pozytywne przemieszcze-
nia w strukturze przestępczości i ilości popełnia-
nych przestępstw. Zmniejszyła się liczba prze-
stępstw najcięższych, godzących bezpośrednio w
życie i zdrowie obywateli. Następuje nieustanny
wzrost wykrywalności przestępstw wszelkiego ro-
dzaju.

— Dzięki udoskonaleniu metod śledztwa?

— Owszem, ale nie tylko. Również dzięki o-
gromnemu rozszerzeniu bazy technicznej. Dziś,
obok kadry z wyższym wykształceniem specjali-
stycznym, organa MO dysponują najnowocześ-

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 4

SPRAWY RÓZNE

Od współczesnego poety spodziewam się nie tego, aby czynił mi zwierzenia ze swoich osobistych przeżyć, ale także, by rzucił snop światła na mnie i na świat, z którym pozostaję w wielorakim i wielostronnym uwiązaniu.

ZBIGNIEW DOMINIAK

SPOTKANIA Z POEZJĄ

racka stwarza warunki do tego, aby porozumienie mogło zostać osiągnięte. Są one do twórczej dyspozycji poety. Z punktu widzenia odbiorcy, czyli czytelnika, żeby nastąpiła komunikowalność, poeta nie musi przysięgać na bóstwa prasłowiańskie i mitologiczną ziemi, ani zarzekać się, że wszystko to, to są jego „autentyczne przeżycia”; może z powodzeniem zmniejszyć jako żywo, dawać upust swojej wyobraźni, byleby zainspirował mnie do wspólnej — szeroko rozumianej — refleksji nad doskwierającymi problemami egzystencjalnymi, społecznymi, etycznymi, estetycznymi itd.

Piszę o tym zaniepokojony stanem świadomości literackiej niektórych młodych poetów, szczególnie ze środowiska wiejskiego. Wydaje mi się, że ich próby poetyckie — świadomie czy nie — sytuują się wokół programu stworzonego przed przeszło czterdziestu laty przez Stanisława Czernika. Był to program, jak sądzę, najadekwatniejszy dla wyrażenia doświadczeń inteligencji wywodzącej się spoza wielkich centrów, kulturalnych, i który w wielu punktach może być inspirujący do dzisiaj.

„Jakiś naturalny instykt pcha ich do odległych nieraz wzruszeń i wrażeń z najdalszego życia, czasem nawet z dziecinstwa”. Stąd tylko krok do zanurzenia się w bezkonfliktowej Arkadii, z której wieje nuda i sentymentalizm.

Jestem przeciw sprowadzaniu „autentyzmu przeżyć” do kilku najprostszych, najbanalniejszych doznań: poczucia związku z cyklem i niezakłócalnym wyciemem vegetatywnym przyrody, czułościowości w traktowaniu najbliższego otoczenia: ukochanego (nej), ojca, matki, dziecka, ziemi rodzinnej. Jestem przeciwko sentymentalizmowi narcystycznemu. Wolalby, aby poeta nie zasiedział do pisania wierszy, kiedy mu „słoty” z oczu ciekną, ale wówczas gdy już je otarli. Wtedy silniej zainteresowałby mnie sobą. Wtedy mogliśmy się porozumieć. I wówczas nie

odnosiłbym wrażenia, że chociaż na rękach mamy podobne zegarki i jeżdżimy tymi samymi pociągami, ktoś z nas — ja czy poeta — żyje na Księżycu.

Nawet Czernik nie widział autentyzmu tak rustykalnie i prosto. Pisał przecież: „Poezja ma prawo uwzględniać wszystkie sprawy świata, ma prawo dopuszczać do głosu człowieka i maszyna, dżungla i morza, niebo i piekło”. Z tych praw należy korzystać. Jesteśmy bardziej skomplikowani niż nam się samym wydaje. Po-

mach pamięci: mgliste kontury pejzażu przepojonego nastrojowością; rudymenitarne okruciny przeszłości; poetycki skansen, pragnący zatrzymać nie tyle to, co z pewnym dramatyzmem odchodzi, ale to, co już odeszło.

Podobnie oenić można by również utwory Stanisława Piaseckiego, znane mi, co prawda, w niewielkim wyborze. Liryki tej poetki, uprzytomniają nam, jak silne — mimo wszystkie awangardyzmy XX wieku — jest jeszcze cięnięcie konwencji, rodem z Konopnickiej czy Lenartowicza.

Inne jakościowo są wiersze Marii Mirosławy Walczak. W swoim lirycznym pamiętniku notuje ona przede wszystkim smutki przemiana: „kwiat otwartej dłoni / chce uchwylić w płatk / czas (...) linie życia / linie szczęścia / linie serca”. Ow czas, niewierny kochanek myśli! rządzi nie tylko naszą pamięcią, niszczy także uczucia, zabiera zdrowie, udaremnia twórczość. Są jednak obrazy, które nie poddają się — zdaniem poetki — niszczycielskiemu działaniu czasu: sen i natura. Przynoszą one bowiem zawsze nadzieję na odrodzenie tego, co umiera, w piękniejszym kształcie.

Między nie spełnionym marzeniem a realnością lokuje także swoje poetyckie zainteresowania Czesława Graczykowska. Pisze: „tak pragnęła / pofrunąć na dżikie jezioro / łabędzica (...) ale palce bardziej zgrubiały / ostrzy ból / ciężkie siatki — te same / z miasteczka / w targowy dzień”. Sytuacja egzystencjalna, w której znajduje się podmiot liryczny, sprowadza się do następującej definicji: „jest człowiek / codziennosc / i litość / i cierń”. Podobnie jak w wierszach Walczakówny i tutaj dominującym uczuciem jest doświadczenie upływu czasu, i tutaj szuka się ocena w marzeniu sennym.

Zbigniew Adamski próbuje przełamywać w swoich wierszach naturalną skłonność do uprawiania liryki bezpośredniej poprzez wypisywanie tego, co osobiste, w obręb układów szerszych. Stąd, jak się zdaje, odwoływanie do wątków starogreckich, biblijnych, czy też do nowożytnej tradycji europejskiej (Shakespeare). Wiersze jego odznaczają się znaczną dyscypliną formalną. W utworach bazujących na tradycji literackiej czy filozoficznej nie następuje jeszcze, w moim odczuciu, pełna integracja tego, co poeta czerpie z owej tradycji, z tym, co jest w wierszu wzięte z bezpośrednich doznań autora. Doprowadzenie do większej spójności obu tych elementów widzę jako zadanie poetyckie, nad którym warto popracować. Jeśli zaś idzie o lirykę bezpośrednią, upominałbym się o poszerzenie skali uczuć i zainteresowań poety. W autocharakterystyce bowiem Zbigniew Adamski przedstawia się nam jako waga, którą trzyma w ręku, a niejednego pieca chleba jada, z wierszy jednakże trudno byłoby o tym wnioskować, tak bardzo pochłaniająca relacje rodzinne.

Aura liryczna i sensualizm w odczuwaniu świata to także właściwości poetyki Zdzisława Kupczyka. Zwraca przy tym uwagę pewna nostalgicznosc tej poezji. wywołująca m. in. przez używanie takich słów, jak: „ucięka”, „idę”, „odchodzi”, „umiosę”, „przemieniają”,

itp. Podmiot tych wierszy pozostaje w ciągłym odwróceniu od krajobrazów i osób.

Kupczyk pisze: „Zegnaj mi więc piękna /niegdys / pieśń pełna — Wierbro Rozstajna —”, „— Z fald twego piaszcza / wyploszona / ostatnia wyfrunęła bajka —”. Poeta ma tutaj świadomość zdevualowania się powszechnych niegdys rekwiżytów poezji (a ściślej: liryki), umyka więc w interesującą, przez siebie wypracowaną metaforę. Nie powtarza dawnych chwytów formalnych, poszukuje nowych, bliższych współczesności.

Wybiera raczej kontemplację niż kreację.

W wierszach Teresy Angerman nie napotykam na podobne rozbieżności pomiędzy zamysłem a poetycką realizacją. Byłoby niedopuszczalną symplifikacją, gdybyśmy umieścili te wiersze w nurcie okazjonalnej twórczości o „ochronie naturalnego środowiska człowieka”. A przecież o takim zagrożeniu cywilizacyjnym w wierszach pisane były nie z podstępów publicystycznych, lecz wynikała z jakichś głęboko doznanych przeżyć. Poetka potrafi wywołać napięcia dramatyczne, poruszając się nie na poziomie zwyczajnego opisu rzeczywistości, ale — rzeź — „rzeczywistości symbolicznej”.

Tę umiejętność zwielokrotnienia znaczeń posiadał w stopniu, moim zdaniem, najdoskonalszym spośród omawianych poetów Tadeusz Wierzbicki. Buduje on swoje wypowiedzi poetyckie w sposób dynamiczny, uzyskując napięcia metaforyczne w wierszu poprzez zdzieranie ze sobą elementów ze sfery sacrum z elementami ze sfery profanum.

Zdaje sobie sprawę, że nie zdołam w tym miejscu opisać wyczerpująco bogatej w znaczenia poezji Wierzbickiego, zwrócić więc na koniec uwagę na inną charakterystyczną cechę wyobraźni poetyckiej tego autora: skłonność do paradoksalnego widzenia rzeczywistości. Mam przy tym nadzieję, że takie sformułowania, jak: „płyty chodnikowe / lażą bez celu deptać po butach” czy „biją dzwony pięścią w stół / aż biat boli”, nie są jedynie popisem sprawności warsztatowej poety, ale świadczą o zamiarze uchwycenia „postrzeżeń przedrefleksyjnych”, jak nazywał te zabiegi, spotykane często w poezji Juliana Przybosa, Wiesława Pawła Szymańskiego.

ROZPOZNANIE, które tu przeprowadziłem, nie może być ani pełne, ani całkowicie sprawiedliwe. Nie sposób przecież abstrahować od swoich upodobań. Zgoda więc na „autentyzm”, ale niegodza na „mały autentyzm” — na minimalizm poznawczy, choćby nie wiem jak szczery. Poezja — tak jak sobie to wyobrażam — niechby była „pięściem pomiędzy swoim i uniwersalnym; minionym a tym, co się dopiero rodzi; pomiędzy tym co wieczne, a tym co przynależne chwili; przeżytym a wyobrażonym; piśnianym sercem a zintelektualizowanym”.

Publikacje z cyklu „Spotkania z poezją”: Stanisława Piasecka (maj 1977), Zbigniew Adamski (październik 1977), Zdzisław Kupczyk (maj 1978), Tadeusz Wierzbicki (maj 1978), Teresa Angerman (wrzesień 1978), Maria Mirosława Walczak (grudzień 1978), Walenty Jarecki (1978), Czesława Graczykowska (dłuj 1979), Sieradz. Opracowanie: Dzielnicy Informacji i Wydawnictwo WDK w Sieradzu.

II Dni Bałut, które miały miejsce w ostatniej dekadzie września, są jakby wizytówką życia kulturalnego dzielnicy. Być może tegoroczna impreza zaskakiwała mnogością propozycji, ale wrażenie to zmieniło się, gdy uświadomimy sobie cel organizatorów — wszechstronna prezentacja dorobku placówek kulturalnych. Bałuty mają tych placówek najwięcej. Dni są więc okazją, by pokazać swe osiągnięcia nie tylko mieszkańcom dzielnicy, ale i całej Łodzi. Organizatorzy zresztą nie ukrywają, że ich marzeniem jest, by impreza nabrała z czasem ogólnodzielniczego charakteru.

Każdy dzień tygodnia był opatrzone innym hasłem. I tak był np. dzień placówek kulturalno-świetlnych, bałuckich zakładów pracy, sportu, twórczości artystycznej, dzień osiedli, rzemiosła i rękodziela. A wśród wielu interesujących imprez warto wymienić koncert amatorskich zespołów artystycznych, aukcję prac plastycznych dzieci bałuckich, III Amatorskie Konfrontacje Teatralne (o których szerzej później), szereg wystaw (m. in. „Plastyka bałucej — swojeje” dzielnicy, rzeźby Jana Grodzka) czy imprezy sportowe (m. in. Zawody Jędrzejki w skokach). W Dniu Otwartych Pracowników znani łódzcy plastycy: Klara Jankiewicz, Piotr Gogolewski i Kazimierz Kędzła zaprosili do swoich pracowni; a wię była to rzadka okazja dla mieszkańców, by móc przyjrzeć się pracy i zapoznać z warsztatem artysty.

Jest to zaledwie cząstka bogatego programu „Dni Bałut”, w którym każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

DDK to nie tylko placówka animująca działalność amatorów, ale także miejsce spotkań, gdzie można zaprezentować publicznie swoje prace czy podyskutować. Funkcję tę spełnia tzw. Bałucki Salon.

Warto poświęcić chwilę uwagi zakładowemu klubowi „Eltus” przy Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Eltas”, gdzie działa jedyny w Łodzi robotniczy Dyskusyjny Klub Filmowy, prowadzony przez Zygmunta Machwita. Projekcje w zakładowym kinie odbywały się co tydzień, a raz w miesiącu, w piątek przed wolną sobotą, organizowane są maratony filmowe. Odbywały się tu także seminaria filmoznawcze, z udziałem twórców i znanych filmologów. W zeszłym roku odbyło się seminarium „W dwudziestolecie „Popolu i diamentu” — Andrzeja Wajda — polska szkoła filmowa”, w tym roku w planie seminarium poświęcone filmom młodych reżyserów polskich, twórczości Zanussiego i kinematografii węgierskiej.

Na terenie dzielnicy działa 11 domów kultury, 5 klubów, 35 świetlic (zakładowych, społecz-

KULTURA W DZIELNICY

Ale życie kulturalne Bałut to nie tylko „Dni” — jednorazowa impreza, ale całoroczna praca procentująca osiągnięciami.

Wśród wielu placówek kulturalnych dzielnicy ważną rolę odgrywa Dzielnicy Dom Kultury z siedzibą przy ul. Limanowskiego i jego filia przy ul. Zubardziej. Koordynuje on działalność placówek na terenie dzielnicy, a więc spółdzielczych domów kultury, klubów i świetlic. Koordynacja ta polega na zbieraniu programów pracy i opracowywaniu kalendarza imprez dzielnicy oraz na pomocy instrukcyjno-metodycznej.

DDK specjalizuje się w organizacji dużych widowisk plenerowych (np. w Arturówku) oraz w usługach kulturalnych dla większych zakładów pracy, które nie posiadają własnych placówek.

Pomyślano również o najmłodszych i młodzieży. Spotkania z lalkowymi bohaterami dostarczają wrażeń, a połączone z podglądaniem kulis Teatru Lalek są pierwszą lekcją warsztatu aktorskiego. Konkursy i zabawy urozmaicają cykliczne projekcje w Dziecięcym Kinie „Przygoda”. Perypetie Bolka i Lolka, misia Uszka i rodzica się podzielił młodych artystów. Zabawa jest doskonała.

Dla młodzieży propozycje są już poważniejsze. Klub Młodego Polityka stał się miejscem wymiany uwag i przemyśleń młodych ludzi dotyczących tej sfery życia społecznego. A jeżeli młodzi, to także muzyka. Spotkania z nią zapewnia „Studia Lim-166” lub „Przebojowa 13”.

Lecz nie tylko młodzież bawi się w murach DDK. Chlubną kartą zapisała się opieka nad ludźmi przeżywającymi swój złoty wiek. Mogą tu spędzić miłe chwile przy herbatce, gawędząc czy słuchając dobrej muzyki i poezji.

Rozwój ruchu amatorskiego to następna, jakże ważna sfera działalności placówek. To właśnie tutaj znalazła swoją siedzibę znana kapela „Bałuciarze”. Tutaj również znajdują schronienie wszyscy pragnący muzykować, śpiewać, malować. Zespół Teatru 44 skupia ludzi pragnących wyrażać siebie i swoje widzenie świata za pomocą słowa, gestu, ruchu.

Plonem organizowanych co pewien czas wystaw prac plastycznych i fotograficznych, po których każdy z prezentowanych autorów zostawia dla DDK jedno swoje dzieło, będzie Galeria Ruchu Amatorskiego.

Zorganizowane już po raz trzeci Amatorskie Konfrontacje Teatralne przyczyniają się do pogłębienia funkcji ideowo-wychowawczych ruchu amatorskiego, służą także konfrontacji różnorodnych form artystycznych. Jak powiedział jeden z organizatorów AKT, Czesław Pawłow-

nich, środowiskowych. TPD). Każda z placówek specjalizuje się w określonej działalności, w ten sposób zapewniając różnorodność i wszechstronność propozycji. Warte podkreślenia jest duża integracja placówek kulturalnych dzielnicy. Oprócz DDK i ośrodków podległych Dzielnicy Muzyki i Kultury pracuje na terenie Bałut dużo placówek zakładowych i spółdzielczych, podległych innym resortom. Organizowane co pewien czas konferencje, w których biorą udział przedstawiciele władz dzielnicy, szkół, zakładów pracy i organizacji społecznych, służą nie tylko wymianie doświadczeń, ale pozwoliły również stworzyć jednolity, a co ważniejsze, celowy program działania. Integracja ta umożliwiła organizację takich dużych imprez, jak „Fajka” czy Dni Bałut, których to jedna placówka nie byłaby w stanie zorganizować.

W pracy kładzie się nacisk na rozwój ruchu amatorskiego (na terenie Bałut działa ok 90 zespołów amatorskich) i działalność upowszechniającą. W tej ostatniej ważną rolę odgrywają kluby.

Udało się wejść z działalnością w środowisko szkolne. Tu stawia się przede wszystkim na konkursy jako formę zabawy kształtującą i wychowującą zarazem.

Nie brak i problemów. Przede wszystkim podkreśla się małe różnicowanie zespołów amatorskich czy kłopoty z kadra instruktorską. Kadra kierownicza jest fachowa i zarządza pasją działania, nie zawsze jest tak z instruktorami. Przyczyny bywają różne. Między innymi są to nielike placu, brak odpowiednio wyszkolenia czy przypadkowość ludzi podejmujących tę pracę.

W rozmowach z pracownikami placówek kulturalno-społecznych i upowszechniania wyzywa się do rozgoryczenia, że prace ich traktuje się jako mało ważną w porównaniu z działalnością ośrodków twórczych dobra kulturalne. Dlaczego? Przecież, aby sztuka spełniała ważną rolę w życiu społecznym, musi wykształcić widza aktywnego i świadomego. A takie nastawienie nie ułatwia zadania.

Brak jest również bardziej ścisłej współpracy amatorów z twórcami i placówkami profesjonalnymi. Pozytywne przykłady współpracy DDK z Muzeum Miasta czy PWSSP są niestety, odosobnione.

Nie najlepiej jest również z frekwencją na niektórych programach.

Będziemy jednak dobrej myśli. Po obserwacji Dni Bałut, imprezy sprawnie prowadzonej, możemy sądzić, że z problemami również z czasem uporają się bałuce działacze kultury.

TERESA WOJTCZAK

III OGÓLNOPOLSKI ZJAZD MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

Jest rzeczą naturalną, że ludzie posiadający podobne zainteresowania zrzeszają się w różne towarzystwa, aby ułatwić sobie rozwój swoich zainteresowań. Wszakże związki te różnią się między sobą charakterem i zakresem swej działalności. Niektóre z nich mają charakter ruchu umysłowego. Taką cechą działalności Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction.

Co roku członkowie i sympatycy tego klubu spotykają się na ogólnopolskich konwentach, na których podsumowują swoją dotychczasową działalność i wytyczają kierunki dalszej pracy. III KONWENT OGÓLNOPOLSKIEGO KLUBU MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI I SCIENCE FICTION odbędzie się w Łodzi w dniach od 16 października do 21 października 1979 roku.

mogli spotkać się na giełdzie 19 października i nabyć lub wymienić różne książki. Odbędzie się też spotkania autorskie z pisarzami. Do Łodzi zaproszono między innymi pisarzy science fiction: Krzysztofa Borunia, Andrzeja Donimirskego, Konrada Fijałkowskiego, Macieja Kuczyńskiego, Bohdana Petteckiego, Andrzeja Trepię, Adama Wiśniewskiego-Snergę.

Organizatorzy III Konwentu Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction spodziewają się przedstawicieli tego ruchu z Anglii, Francji, Hiszpanii, Belgii, Szwecji, Szwajcarii, Kanady, ZSRR, Bułgarii, Rumunii, Węgier, CSRS i NRD.

Imprezy towarzyszące III Konwentowi będą dostępne wszystkim interesującym się fantastyką i science fiction.

(W)

Dalszy ciąg ze str. 1

niejszą aparaturą naukową, ułatwiającą szybkie i bezbłędne wykrywanie przestępstw różnego rodzaju. Dziś nie ma już zbrodni dokonanych z kryminalnych powieści.

— Dużą rolę odgrywa w tym oczywiście jakościowy wzrost kwalifikacji i poziomu

stwach i zgwałceniach sto procent, w rozbojach 95,6 proc., we włamaniach 81 proc., w kradzieżach mienia prywatnego 87,4 proc., w zagarnięciach mienia społecznego 91,1 proc. Zarówno te liczby, jak i społeczne odczucia i oceny pozwalają na stwierdzenie, iż z każdym rokiem następuje odczuwalna poprawa w zakresie ładu i porządku publicznego w Łodzi i woje-

bezpieczeństwo obywateli. Jesteśmy zdania, że wymagają one zdecydowanego ograniczenia, tym bardziej iż nasze statystyki wskazują, że pijaństwo i alkoholizm, a także pasożytnictwo społeczne są czynnikami kryminalnymi. Ponad 60 procent sprawców przestępstw i wykroceń działa pod wpływem mniejszej lub większej ilości wypitego alkoholu. W pierwszym półroczu tego roku organa Milicji Obywatelskiej województwa łódzkiego przeprowadziły, łącznie, 341 różnego rodzaju akcji, mających na celu zwalczanie pijaństwa i alkoholizmu.

— Niemalą rolę w rozpowszechnianiu alkoholizmu odgrywają bimbrownie i pokątny handel wódką.

— Z pewnością. Dlatego też prowadzimy systematyczne

nietletnich i podejmując szereg działań zwalczających rozpicią młodzieży. I tak na przykład, w pierwszym półroczu bieżącego roku przeprowadzono 38 specjalnych akcji kontrolnych, podczas których ujawniono 42 nietletnich będących w stanie nietrzeźwym. W każdym z tych przypadków podjęto kroki zmierzające do ujawnienia miejsc i osób, które mogły mieć wpływ na demoralizację nietletnich.

— Towarzyszu Komendant, jak jesteśmy już przy tym, chciałbym spytać, czy istnieje odrębny problem przestępczości nietletnich?

— Nie ma takiego problemu. Oczywiście, wśród sprawców przestępstw są również nietletni. Dokonują oni na ogół drobnych przestępstw, z reguły kradzieży mienia. Ale nie lekceważymy tego zjawiska i w

dziecka dożywianiem, opieką świetlicową i inne. Wspomnę jeszcze, że organa MO współpracują w tej sferze swojej działalności także ze Społeczną Komisją Przeciwalkoholową, podejmując starania — konkretnie 186 wniosków w bieżącym roku — o leczenie rodziców nietletnich moralnie zagrożonych. Pragnąłbym podkreślić, że wiele spraw związanych z poprawą trudnej sytuacji małoletnich, funkcjonariusze naszej MO załatwiają we własnym zakresie.

— Jak przedstawia się stan bezpieczeństwa w ruchu drogowym?

— Notujemy poprawę w dziedzinie bezpieczeństwa na drogach mimo stałego wzrostu motoryzacji. Oczywiście zdarzają się wypadki drogowe, częstokroć śmiertelne, czy to z powodu złego przygotowania

gazowanie naszej klasy robotniczej i całego społeczeństwa. Na bliskie więzi łączące milicję i mieszkańców miasta i województwa składa się dobry klimat polityczny, który tworzy łódzka instancja partyjna, instancje dzielnicowe, władze administracyjne, a także działalność organizacji partyjnych, organizacji związkowych, kobiecych, młodzieżowych, wychowawcze oddziaływanie rodzinnego domu, szkoły.

Szczególnie wiele wysiłku, ofiarności i cennych inicjatyw w dzieło zacieśnienia współpracy Milicji Obywatelskiej ze społeczeństwem Łodzi i województwa wniosły tysiące działaczy społecznych pracujących w ORMO. Organizacja ta skupia w województwie łódzkim blisko 15 tysięcy osób. Wykonując szeroki, wielokierunkowy zakres



Plk K. Kraupe: „...poszukujemy wciąż nowych form pracy i intensyfikujemy nasze działania we wszystkich dziedzinach”.

przygotowania zawodowego kadry MO.

— Tak, to nie ulega wątpliwości. Nasz zawód, podobnie jak wiele innych, wymaga dużej wiedzy ogólnej i specjalizacji. Teraz funkcjonariusze milicji muszą mieć wykształcenie — a oficerowie — wyższe. Mamy wśród nas wielu prawników, ekonomistów, socjologów, pedagogów, psychologów, inżynierów, w pracy korzystamy z najnowszych zdobyczy nauki i techniki. Takie są wymagania współczesności.

— Czy zechciałby Towarzyszu Komendant podać nieco liczb?

— Na przykład w ciągu 9 miesięcy bieżącego roku, w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego, liczba przestępstw spadła o 9 procent. Jeśli chodzi o wykrywalność, to wynosi ona, ogółem, 89,9 proc. W tym, w zabój-

województwie. Słowo, że w naszych miastach, osiedlach i wsiach ludzie żyją coraz spokojniej i bezpiecznie.

Oczywiście, upowszechnianie ideałów społeczeństwa socjalistycznego i moralnych norm współczesności nie odbywa się bezkonfliktowo. Milicja Obywatelska i Służba Bezpieczeństwa przeciwdziałają negatywnym zjawiskom naruszającym zasady współżycia społecznego.

— Do bardzo negatywnych zjawisk, rzutujących na stan bezpieczeństwa i porządku publicznego w mieście i województwie łódzkim zaliczyłbym alkoholizm i pasożytnictwo społeczne.

— Niewątpliwie. Zdajemy sobie sprawę, że oba te zjawiska wywierają wyraźny, ujemny, szkodliwy wpływ na ład i porządek, jak również

działania rozpoznawcze w celu ujawniania miejsc produkowania bimbrowa oraz osób podejrzanych o trudnienie się nielegalną produkcją alkoholu. W konsekwencji tych operacji organa MO wykryły w ubiegłym roku i zlikwidowały 62 bimbrownie. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na fakt, iż w ostatnim okresie czasu notujemy spadek ilości nielegalnych punktów produkcji alkoholu.

— A jeśli chodzi o pokątny handel wódką?

— Od stycznia do czerwca tego roku funkcjonariusze MO naszego województwa ujawnili 167 punktów nielegalnej sprzedaży wódki. Wobec osób trudniących się tym procederem, niezależnie od kierowania spraw na drogę sądową i do kolegiów do spraw wykroceń kierowano także wnioski do wydziałów finansowych o wymierzenie podatków i kar za nielegalną działalność handlową.

— Alkoholizm jest szczególnie groźny jeśli chodzi o nietletnich i młodzież.

— Tak, wiemy o tym. Dlatego też organa Milicji Obywatelskiej prowadzą energiczną działalność także w sferze zwalczania alkoholizmu wśród

ramach naszej stałej działalności profilaktycznej szczególnie uwagę zwracamy na zapobieganie demoralizacji wśród młodzieży, w której upatrzymy główne źródło zła. Najczęstszą przyczyną moralnego zagrożenia nietletnich i młodzieży są alkoholizm, niewłaściwe metody wychowawcze lub wręcz w ogóle brak opieki nad nietletnimi. Wśród innych przyczyn odnotowujemy prostytucję i przestępcze tradycje w rodzinie.

— Czy w tej dziedzinie działalności: ochronie nietletnich i młodzieży przed demoralizacją, współpracuje MO z organizacjami społecznymi?

— Naturalnie, i to na bardzo szerokiej płaszczyźnie. Działania związane z zapobieganiem demoralizacji i przestępczości nietletnich organa MO prowadzą przy ścisłej współpracy z instytucjami i organizacjami społecznymi, zajmującymi się problematyką wychowania młodzieży. Naszym wielkim sojusznikiem w rozwiązywaniu problemów życiowych młodocianych, które narastają z powodu trudnych sytuacji w rodzinie, są władze oświatowe w Łodzi. Skierowaliśmy do nich, ogółem, około 200 wniosków o udzielenie zapomóg pieniężnych, o objęcie

samochoodu do jazdy, czy też z braku umiejętności kierowania pojazdem, lekkomyślności, nieuwagi, brawury a nierzadko wskutek upojenia alkoholowego, co jest najbardziej karygodne, ale nie stwarza to odrębnego problemu, który by można określić mianem stanów zagrożenia drogowego. Nieustannie, profilaktyczna akcja milicji drogowej jest już tak popularna i tak ogólnie znana, że nie potrzebuje komentarza. Powiem tylko, że w tym roku, do września, liczba wypadków drogowych, w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku, zmalała o 1,6 proc., a śmiertelnych wypadków drogowych o 14 proc. I jeszcze jedna interesująca liczba: 31 grudnia 1978 roku w województwie łódzkim było zarejestrowanych 140.600 pojazdów samochodowych, a w dniu 30 czerwca tego roku było ich już 150.156. A więc wzrost o blisko 10 tysięcy samochodów.

— Jak układa się współpraca organów Milicji Obywatelskiej ze społeczeństwem?

— Bardzo dobrze. Wszak u podstaw wzrostu bezpieczeństwa i porządku publicznego jakie notujemy w Łodzi i województwie, leży przede wszystkim trud i społeczne zaangażowanie

Wiemy, że mamy jeszcze bardzo wiele do zrobienia, że życie stawia przed nami coraz trudniejsze zadania i dlatego musimy poszukiwać wciąż nowych form pracy oraz intensyfikować nasze działania we wszystkich dziedzinach. Będziemy nadal umacniać porządek publiczny, energicznie zwalczając ujemne zjawiska zakłócające pracę, spokój i bezpieczeństwo obywateli, zwalczając przestępstwa, umacniać praworządność. Tak, jak poleca nam to robić partia.

— Dziękuję za rozmowę. I składamy najlepsze życzenia dla wszystkich pracowników MO i SB.

Rozmawiał:
 WŁODZIMIERZ
 STOKOWSKI

W SŁUŻBIE SPOŁECZEŃSTWA

NIE TYLKO HISTORIA

Książka, na którą pragnąłbym dziś zwrócić uwagę Czytelników, ukazała się z datą 1978 r. w łódzkim wydawnictwie „Naukowa Dumka” w języku rosyjskim, pod auspicjami Instytutu Nauk Społecznych Akademii Nauk Ukraińskiej SSR. Nosi ona przydługą tytuł (podaje go w polskim tłumaczeniu): „Analiza metodologicz-

stolecia. Mamy tu więc do czynienia ze studium, ogarniającym niemal całość dzieł polskiej myśli filozoficznej od czasów Młodej Polski włącznie, aż do końca lat trzydziestych. Ogromny materiał, jakim dysponuje autor, został przezeń zorganizowany wokół zasadniczej opozycji, która stała się dlań kluczem do analizy zróż-

dane przez naszych historyków filozofii, by w charakterze przykładu wspomnieć o najrozmaitszych koncepcjach o charakterze wyraźnie antykomunistycznym, jakie rozwijano w środowiskach, związanych z prawięcą społeczną w okresie międzywojennym.

Bardzo trudno byłoby ocenić w krótkim felietonie książkę M. N. Biereżkowa: wiele jest w niej wątków, mnóstwo problemów, które znajdują się od lat w centrum uwagi wielu naszych badaczy, a z pewnością jeszcze nie zostały do końca wyjaśnione. Ukraiński uczone zna doskonale zarówno polskie piśmiennictwo filozoficzne końca XIX i pierwszego czterdziestolecia XX w., jak i współczesną naszą literaturę naukową, którą szeroko wykorzystuje w swych poszukiwaniach. Odnosi się to nie tylko do polskiego współczesnego piśmiennictwa filozoficznego, badając zagadnienie kryzysu filozofii idealistycznej w kategoriach historii społecznej, jako funkcje narastających konfliktów klasowych, autor korzysta obficie z naszego piśmiennictwa historycznego, dotyczącego dzieł społecznych i politycznych badanego przez siebie okresu czasu. M. N. Biereżkow dorzucił wcale sporo informacji, dotyczących rozwoju marksistowskiej myśli filozoficznej w Polsce w okresie międzywojennym,

mianowicie co się dotyczy udziału, jaki mieli w niej również i ukraińscy marksści, zabierający głos w polskiej wydmuszce filozoficznych i innych, piszący nierzadko — jak było to w przypadku Stiepana Tudora — pod pseudonimem.

Jest w tej książce szereg ciekawych spostrzeżeń, dotyczących polskiej recepcji myśli leninowskiej, interesujące uwagi o udziale 00'skich marksistów w sławnym sporze z rewizjonizmem E. Bernsteina, jest wreszcie sporo wartych zauważenia polemik czy to z dawniejszym, czy współczesnymi ocenami, formułowanymi w naszym naukowym piśmiennictwie. Jest wreszcie niemało dyskusyjnych ocen samego autora, który nie zadował się powtórzeniem poglądów, sformułowanych w dotychczasowej literaturze, a poszukiwał własnego sądu.

Uwagę polskiego czytelnika zwróć więc z całą pewnością zaproponowane przez M. N. Biereżkova interpretacje poglądów Stanisława Brzozowskiego, Edwarda Abramowskiego czy Kazimierza Kelles-Krauzy, by nie wspominać już o innych działaczach i myślicielach, których koncepcje analizuje autor na kartach swojej książki.

Otrzymaliśmy więc wielowartoową, inspirującą do przemyśleń, a niekiedy i dyskusji z poglądami autora, bo-

gatą w treść monografię. Jest ona jeszcze jednym świadectwem żywego zainteresowania humanistyki ukraińskiej problematyką oświatową, przykładem intelektualnej ambicji, skłaniającej do podejmowania zagadnień trudnych, co do których nauka nie powiedziała jeszcze swego ostatecznego zdania. Monografia M. N. Biereżkova będzie w pewnością żywo dyskutowana w polskich środowiskach naukowych, nie tylko przez badaczy dzieł filozofii, ale również przez historyków myśli społecznej i politycznej.

Na koniec jedna uwaga krytyczna: przy lekturze tej monografii bardzo przeszkadza ogromna ilość błędów drukarskich i innych pomyłek, zwłaszcza w zapisie nazwisk i imion. Podaje pierwsze z brzegu przykłady: Warski ma tu imię Alfred (s. 85), historyk Jan Rutkowski jest... Rutkiewiczem (s. 86), Polskie Towarzystwo Historyczne ma istnieć od... 1925 roku (s. 88), S. Czarnowski jest... Stanisławem (s. 88), choć dalej nosi już swoje rzeczywiste imię i tak dalej. Potknęło tych jest znacznie więcej w pierwszych partiach książki, aniżeli dalszych.

LEKTOR

FILOZOFIA NA PRZEŁOMIE WIEKÓW

na kryzysie idealizmu filozoficznego (na podstawie polskiej filozofii końca XIX — pierwszej ćwierci XX w.) i została napisana przez Marata N. Biereżkova. Monografia ta obejmuje jednak szerszy zakres chronologiczny, aniżeli to zostało oznaczone w podtytułach, bowiem autor wkracza niejednokrotnie w rozpatrywanie zagadnień, odnoszących się do ostatnich lat międzywojennego dwudzie-

nicowanych kierunków polskiej myśli filozoficznej interesującego go okresu, a mianowicie kryzysu idealizmu filozoficznego w konfrontacji z rozwojem idei materialistycznych, a w szczególności marksistowskiej refleksji filozoficznej w Polsce. Sąd też w monografii ukraińskiego badacza, prócz spraw stosunkowo już znanych, mowa jest o zagadnieniach, które jak dotąd nie zostały jeszcze szerzej zba-

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

W październiku 1959 roku nowo budowana Elektrociepłownia nr 2 oddała pierwsze gigakalorie ciepła w postaci gorącej wody dla osiedla mieszkaniowego Zubardz — pierwszego kompleksu mieszkaniowego wybudowanego bez własnej kotłowni. Wprawdzie rok wcześniej — 15 grudnia 1958 roku — uruchomiony został pierwszy turbozespół w EC-II wraz z pierwszą magistralą parową, łączącą tę elektrociepłownię z ZPB im. F. Dzierżyńskiego — tym niemniej właśnie ciepła woda bulgocząca po raz pierwszy w żubardzkich grzejnikach, to narodziny łódzkiego scentralizowanego ciepłownictwa. Fakt ten był wydarzeniem nie tylko na łódzką skalę, jako że nasza EC-II była pierwszym w kraju zawodowym źródłem ciepła dla celów technologicznych.

Przymiarki do wprowadzenia w całość Łódź centralnego ogrzewania podjęto zresztą dużo wcześniej. Ich nader konkretnym wyrazem stał się „Projekt przedwstępny ciepłownictwa m. Łódź”, sporządzony już w 1948 roku przez pracowników Zjednoczenia Energetycznego Ołtręgu Łódzkiego. W kwietniu 1960 roku — na zlecenie władz miasta — opracowany został przez warszawski „Energoprojekt” generalny plan pod nazwą „Koncepcja ciepłownictwa m. Łódź”. Plan ten wyrastał na gruncie odpowiednio już

zwyceili przeciwnicy scentralizowanego ciepłownictwa.

U progu wojny niespełna dwa procent wszystkich łódzkich domostw wyposażonych było w lokalny system centralnego ogrzewania. W przeważającej większości były to pałace bogatych przemysłowców i przedstawicieli wielkiej finansjery. We własne kotłownie, dostarczające pary technologicznej, wyposażone były łódzkie fabryki. Gdyby nie nastąpiła centralizacja, powstawałyby kolejne przemysłowe czy rejonowe kotłownie, w rodzaju tej przy ul. Kupieckiej, która przed laty dostarczała ciepło na osiedle Koziny. Pod budowę tych kotłowni — szacując współczesne zapotrzebowanie na parę technologiczną i gorącą wodę — przeznaczony był teren ponad 100 hektarów, a więc obszar sporego osiedla mieszkaniowego. Transport węgla wymagałby istnienia specjalnego przedsiębiorstwa przewozowego, które dysponowałoby musiałoby co najmniej 300 dużymi ciężarówkami typu „Steyer” czy „Kamaz”, które dnem i nocą, bez ustanku dowoziłyby do owych kotłowni węgla i wywoziły żużel, zatłaczając i zaśmiecając całe miasto.

Obsługa kotłowni wymagałaby zatrudnienia w ciepłownictwie dodatkowo około 4.000 ludzi, a więc w sumie prawie trzy razy więcej niż

szesć milionów gigakalorii, zużywając prawie półtora miliona ton węgla rocznie. Średnio elektrociepłownie spalają w ciągu dnia cztery i pół tony węgla, w szczyty zaś — prawie dwa razy tyle. 150 najpotężniejszych węgiarek, a więc trzy duże pociągi węgla potrzebuje dziś Łódź dzień w dzień, aby jej życie społeczno-gospodarcze przebiegało bez zakłóceń. Dziś łódzkie ciepłownictwo — to 400 km sieci wody gorącej i 80 km sieci parowej, złożonej z rur o przekroju od 30 do 900 mm, a przecinającej miasto wzdłuż i wszerz — od Młynka do Kochanówki, od Lublinka po Arturówek. Z dojazdów centralnego ogrzewania korzysta dziś już ponad 500 tysięcy łódzian, a więc dwie trzecie populacji miasta. Parę otrzymuje 300 zakładów przemysłowych, a wodę gorącą — 150 fabryk i ponad 4.500 budynków mieszkalnych, obiektów użyteczności publicznej i siedzib instytucji.

CZEGO POTRZEBUJEMY?

Rozwijająca się Łódź potrzebuje rokrocznie o 150 gigakalorii mocy cieplnej więcej niż w roku poprzednim. Wzrasta zapotrzebowanie na ciepło — w parze i wodzie — każde więc kolejne źródło ciepła musi być większe od poprzedniego. EC-II i EC-III mają po 800 Gcal mocy, EC-IV docelowo osiągnąć ma 1.500 Gcal, podczas gdy EC-V — której budowa rozpocznie się w południowo-zachodniej części miasta w przyszłej pięcioletce — dysponować ma mocą 2.000 Gcal, w EC-II instalowano turbiny o mocy 25 MW i kotły o wydajności 40 ton na godzinę. EC-IV natomiast to już turbiny 100 MW i kotły 440 t/h.

Łódzkie ciepłownictwo potężnie z roku na rok, szczególnie przyspieszeniu poddawanym w ostatnich latach. Łączna moc cieplna naszych elektrociepłowni sięgała w 1976 roku 1.815 Gcal/h, w zeszłym roku przekroczyła już 2.000 Gcal/h, w przyszłym zaś roku osiągnąć ma 2.500 Gcal/h, w 1982 roku natomiast 3.235 Gcal/h.

Rozbudowa systemu i źródeł ciepła pociąga za sobą narastanie wielu problemów, z których najpoważniejszym jest wyczerpanie zdolności przesyłowych wybudowanej dotychczas sieci. Laik mógłby zadać pytanie, czy aby przypadkiem nie zawiódło tu planowanie, czy nie zabrakło perspektywicznego spojrzenia na wzrastające potrzeby? Otóż, niestety, rozwój ciepłownictwa utrudniają... podstawowe prawa fizyki. Sieć centralnego ogrzewania — w przeciwieństwie do innych rodzajów urządzeń — nie ma absolutnej technicznej sprawności, ma zawsze wycieki. Jeśli rurociąg jest idealnie szczelny, gaz i woda nie mają prawa wyciekać, a ciepło ma prawo i ucieka sobie. Straty na magistrali o mocy znamionowej 350—400 Gcal — takiej, jak na osiedle Chojny-Zatorze — sięgają pięciu procent, a więc 20 Gcal, czyli ilości wystarczającej do ogrzania 60 budynków mieszkalnych. Z takimi stratami mamy do czynienia w przypadku, gdy obciążenie sieci — a więc suma tzw. odbiorów ciepła — zbliżone jest maksymalnie do jej mocy znamionowej. Im większa jest jednak różnica między tą mocą a obciążeniem sieci, tym większe są straty ciepła, które zamiast grzać nie istniejące jeszcze mieszkania podgrzewa ziemię i powietrze. Magistrali cieplnych nie można więc budować na wyrost: każda z nich musi być „obłożona” całkowicie nie później, niż w pięć, co najwyżej osiem lat, od chwili jej uruchomienia. Cały więc system musi być nieustannie rozbudowywany, chociaż najprostszym z pozoru wyjściem byłaby budowa olbrzymich magistral, zaprojektowanych na miarę — powiedzmy — dwudziestoletni.

Stąd też nieustannie napięta inwestycyjnie w naszym ciepłownictwie, które w tej dziedzinie pracuje na styku potrzeb i możliwości. Napięcia te pogłębia brak mocy przerobowych przedsiębiorstw instalacyjnych, których nie starcza w pełni na rozbudowę sieci w kierunku nowych rejonów, nie mówiąc już — o nie mniej koniecznym — „dublowaniu” nowymi rurociągami zdolności przesyłowych do starych rejonów. Równie dotkliwy — a pogłębiający się od lat — jest problem braku mocy przerobowych w działalności remontowej, której odpowiedni zakres jest gwarancją sprawności funkcjonowania ciepłownictwa. Nie nadążanie bowiem za potrzebami remontowymi jest najprostszą drogą do zwiększenia ilości awarii.

JAK REMONTOWAĆ?

Skoro o remontach mowa, warto zwrócić uwagę na fakt, że o ile dwadzieścia lat dla życia miasta stanowił przedział czasowy niewielki, o tyle dla urządzeń ciepłowniczych jest już wielkiem przedemerytalnym. Żywność bowiem

sieci cieplnej obłożona jest zaledwie na 30 lat. Wynika to znow z specyfiki procesu jej starzenia się. Wystarczy powiedzieć, że ciepłociąg rdzewieja pięciokrotnie szybciej, niż umieszczona w tym samym środowisku rurociąg, które nie są poddawane działaniu wysokich temperatur i wysokiego ciśnienia, wywołującego duże naprężenia mechaniczne. Trudności pogłębiają się brakiem skutecznych powłok antykorozyjnych: lakiery pod wpływem wysokiej temperatury ulegają tzw. odgazowaniu, bitumy zaś wcześniej czy później spływają z rur. Wprawdzie łódzkie ciepłownictwo z powodzeniem stosuje własne, oryginalne metody zabezpieczania rurociągów, jak np. wypełnianie kanałów pianobetonem, zastępowanie kanałów metalowych w azbestowo-cementowych powłokach — tym niemniej nie są one w stanie powstrzymać starzenia się sieci, co najwyżej udaje im się opóźnić ten proces.

Słowem, łódzki system ciepłowniczy wkroczył w wiek niebezpieczny, wymagający szczególnej dbałości i czujności. Zwłaszcza, że z dnia na dzień rodzą się nowe problemy: do niedawna remontów wymagały tylko rury i izolacje, a teraz przychodzi kolej i na betony, ulegające również korozji. Co oznacza korozja komór żelbetonowych, mogą przekonać się naocznie łódzianie, obserwując kłęby pary, wydobywające się spod jezdní i chodników w al. Politechniki.

Sprawa więc remontów — awaryjnych czy profilaktycznych — urasta w Łodzi do rangi problemu — kto wie, czy nie numer jeden. Dodatkowo komplikuje ją rozpowszechniająca się w zastraszającym tempie budowa partactwa. Jakże bowiem ciepłociąg ma nie rdzewieć, skoro budowlami zamykają kanał, napełniony wodą? Jakże można uniknąć awarii, skoro rury są pospiesznie i klepsko spawane? Co na to inwestor, odpowiedzialny za stan sieci? Rozkłada bezradnie ręce, a potem walczy ze skutkami braków — Z samym brakorobstwem walkę podjął jest coraz trudniej. Pod presją planu inwestor godzi się na przyjęcie od wykonawcy spartalonego budynku. Pod presją też planu ciepłownicy uruchamiają sknoconą instalację z cichą nadzieją, że chociaż jeden sezon bez awarii przetrzyma. Cóż zresztą mają zrobić, kiedy budynek już „zasiadany”, a zima za pasem.

Wrómy jednak do sprawy remontów, które należą w ciepłownictwie do najpilniejszych potrzeb. Rocznie wykonuje się w Łodzi niespełna 50 procent ogólnej — nieodzwolanej wręcz — ilości remontów. W ciągu roku wykonuje się prace rzędu 20—25 mln zł, co jest równoznaczne z usunięciem skutków awarii z minionego sezonu ogrzewczego i wymiana nie więcej niż trzech kilometrów rurociągu. Charakterystyczne przy tym, że z wielkością tej okoliczności 20 mln zł „przerabiają” własne brzozy Zakładu Sieci Ciepłej, pozostaje zaś prace wykonują przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej. Już ta proporcja wyraźnie wskazuje, że łódzkie ciepłownictwo skazane jest przede wszystkim na własne siły. A siły te są gorzej niż skromne. Zespół Elektrociepłowni zatrudnia dwa tysiące osób, Zakład Sieci Ciepłej — pół tysiąca. Zatrudnienie utrzymuje się od dziesięciu lat, chociaż w tym czasie zadania i potrzeby uległy co najmniej podwojeniu. Rozległość terenu i długość sieci — coraz rozleglejszej i coraz dłuższej — pogłębia nieustannie deficyt Brak rąk do pracy jest dotkliwy, tym zaś bardziej doskwiera, że ręce te... całkiem gołe.

Pracownicy Zakładu Sieci Ciepłej uskarżają się na brak podstawowego wyposażenia. Brygady obchodowe — na przykład — których zadaniem jest przecieć i zapobieganie awariom, nie dysponują żadnymi środkami lokomocji. Wchodzi więc taki pracownik do komory cieplnej, gdzie w temperaturze 60—70 stopni spoci się niczym przyswołowa mysz, wykonując niezbędne prace konserwatorskie czy regulacyjne, a potem gramoli się wprost na powietrze — w mroź czy zadymkę — żeby szaraz na piechotę podążyć do następnej komory, dźwigając zresztą na ramieniu podręczny warsztat hydrauliczny czy pomiarowy.

Niektórzy postulują powołanie przedsiębiorstwa specjalistycznego, które zajęłoby się na zasadzie wyłączności robotami instalacyjnymi, pracami remontowymi i usuwaniem awarii, podczas gdy sami ciepłownicy skoncentrowałiby się na problemach eksploatacyjnych. Rozlegają się też inne głosy, domagające się znacznego zwiększenia stanu zatrudnienia Zakładu Sieci Ciepłej, przy równoczesnym wyposażeniu go w odpowiedni sprzęt i urządzenia pozwalające na przecięcie całego ciężaru opieki — leczniczej i profilaktycznej — nad systemem ciepłowniczym.



przygotowanym: w lutym 1957 roku powołano w Łodzi Zakład Sieci Ciepłej, podjęto też sprawna budowę nowoczesnej elektrociepłowni, tworząc również od 1958 roku ramię przyszłej sieci ciepłowniczej.

NARODZINY SYSTEMU

Koncepcja ta zresztą rodziła się w atmosferze burzliwych dyskusji: scentralizowany system ciepłowniczy miał równie wielu zwolenników, co przeciwników. Dyskusje te toczono pod rządymionym łódzkim niebem, w które wysterczyły dziesiątki fabrycznych kominów i setki gardzieli małych kotłowni i palenisk, przesłaniających słońce smrodliwym kopcem i zasypujących ulice popiołem i sadzą.

— Był to czas, kiedy wracając do domu z zajęć na politechnice, długo musialem wyczekiwac z czupryny drobiny węgla, syjącego się jak śnieg z zakopanego nieba. Po ulicach Łodzi chadzało się wówczas w niedozwolonych towarzystwie chrzestu czarnego grysku, którym usiane były gęsto chodniki i jezdnie — wspomina dyrektor Zakładu Sieci Ciepłej, mgr inż. Paweł Waleczak. — Strach pomyśleć, jak wyglądałoby dziś nasze miasto, gdyby w tamtych latach

zatrudniał ich dziś całe nasze ciepłownictwo. Zużycie przy tym węgla byłoby nieporównywalnie większe od obecnego. Scentralizowany bowiem system ciepłowniczy daje w naszym mieście w skali roku około 500.000 ton węgla oszczędności, a więc ilość pozwalającą na zapatrzenie w parę i ciepłą wodę ponad 200-tyśięczne miasto. Do tego w małych kotłowniach nie byłoby możliwości instalowania wysoko wydajnych urządzeń odpylających — jak elektrofiltry — wyposażano by je więc w kiepskie filtry mechaniczne — na przykład typu „Cyklon”. W rezultacie zapylenie miasta, osycalujące dziś w granicach dopuszczalnych norm, sięgałoby co najmniej 600—700 ton/km kw/rok, osiagając stężenie groźne dla wszelkich organizmów żywych.

Nie są to bynajmniej spekulacje oderwane od rzeczywistości. Przypomnijmy tylko, że rozwój łódzkiego ciepłownictwa umożliwił likwidację 180 fabrycznych kominów na przestrzeni dwudziestoletcia. Gdyby nie dynamizacja i konsekwentna budowa scentralizowanego systemu, kminy te dymłyby po dziś dzień.

CO POSIADAMY

Dziś łódzkie ciepłownictwo — to potężne i nowoczesne źródła ciepła, wytwarzające rocznie

USŁUGI

Dalszy ciąg ze str. 1

się do tego co najmniej 100 samochodów dziennie, które zjawiają się po pomocy i kierowcy przytupując z zimną przemierzając niewielki placyk wciśnięty między budynek a smrodliwy kanał ściekowy — całość nie wygląda zachęcająco. I te częste odpowiedzi pracowników biura obsługi klienta: — nie ma, nie otrzymaliśmy, w tym roku jeszcze nie było. I te częste odzywki zdenerwowanych właścicieli „maluchów”: — a niechże to cholera...

Ulica Piłtra Skargi. Jesienne popołudnie, deszcz leje bez przerwy. Przed ASOS-6 parę „Syren”. Czyżby koniec sezonu? Kiedyś przyjeżdżalem tu naprawić swoją „Syrenę” i zapamiętałem zyczliwosc jaką mi okazano.

W biurze obsługi klienta siedzi dwóch mężczyzn. — Czemu tak pusto? — pytam. — Dzięki usprawianiom. — Nowa organizacja pracy? — dziwie się.

— Normalnie. Nie mają części zamiennych i nie wykonują badań diagnostycznych więc ludzie przestali tu przyjeżdżać. — Jak to, nie mają? Przecież jest

magazyn, wiem o tym na pewno... — Jest, ale części im nie wydadzą. Jeśli nie pan własne części na wymianę, to zrobiam, bardzo chętnie.

Ta innowacja wprawla mnie w zdumienie. Okazuje się, że główny magazyn zamknął swoje drzwi na siedem spustów. Końce z częściami zapasowymi. Jeśli ASOS-6 chce, to może urządzić własny magazyn w podziemiach. Ale urządzić magazyn — to jedno, a sprowadzić doń części — to drugie. A tu plany terminy, zalecenia. A roboty coraz mniej. Jeszcze nie tak dawno na wąskiej uliczce imienia Piotra Skargi był tłok i ścisk, na naprawę czekało się po kilka godzin, umorusani mechanicy nie zawsze mieli czas na papierosa. Teraz luz, spokój, wypatrywanie klienta.

Nie chciałbym znaleźć się w skórze kierownika stacji, który przeżył cały dzień odpowiadając klientom: — nie ma. Chcesz wyważyć koła — nie ma wyważarki, chcesz dokonać badań diagnostycznych samochodu — nie ma diagnostyka, potrzebujesz akumulator — nie ma i nie wiadomo kiedy będzie. Od jakiegoś czasu prowadzi się zapisy na przydział akumulatorów. Według stanu na dziś w ASOS-6 jest zapisanych około 3 tys. osób. Napływają dalsze zgłosze-

nia. I co z tego? Jeśli kierownik otrzyma nawet 300 szt., to wiadomo, że przynajmniej połowa z nich nie będzie się nadawała do użytku, albo przestanie być przydatna po trzech, pięciu dniach eksploatacji. Klient zapłacił za naładowany akumulator 808 zł i chce być on sprawny, a skoro tak nie jest ma pretensje do kierownika stacji obsługi. W takim przypadku ASOS wysła reklamowany akumulator do „Centry” do Poznania, a stamtąd zamiast nowego egzemplarza przychodzi pieniądze. Ale pieniądze nie zastąpi akumulatora. Ludzie klną, psoczą, narzekają, a czasem, doprowadzeni do rozpacz, lżą niewinnie pracowników „Polmozytu”.

Niedawno ASOS-6 otrzymała lożyśka do piast kół przednich do „Syren”, które po 4—5 dniach wymagają wymiany: powstają luzy zagrażające dalszej jeździe. Wiele ludzi przyjeżdżają i żądają nowych. W stacji obsługują wymieniania je, oczywiście w ramach reklamacji, czyli za darmo, wiedząc, że klient za parę dni zjawí się tu ponownie.

Ostatnia stacja obsługi samochodów, jaką odwiedziłem, to ASOS-2 przy ul. Strykowskiej. Sądziłem, że jeśli umieszczono ją w pobliżu dy-

rekcji PP „Polmozyt” być może posiada jakiś priorytet w otrzymywaniu części zamiennych do samochodów. Niestety, sytuacja tak samo beznadziejna jak i gdzie indziej.

— Czy nie wie pan — pytam właściciela „Zastawy” — są tu akumulatory?

— Patrzyć na mnie jakim przybył z innej planety. — Od paru miesięcy czekam na gwarancyjną wymianę akumulatora

kół przednich, kadłubów do modeli 1500, przewodów gumowych do nagrzewnicy silnika, gumy stabilizatorów; do „Poloneza” nie ma filtrów olejowych, głowicy, obudowy pokrywy wodnej, wsporników alternatora; do „Zastaw” nie uswiadczysz nowych nadwozi; do „Ład” nie ma dźwigni, walka i łańcuchów rozrządu, nie ma filtrów powietrza. Ludzie przyjeżdżają tu w większości po to, by otrzymać informację, że jakiejś czę-

BARDOŻO BŁĘDNE

i co dzień słyszę, że jeszcze nie ma. — Przecież pan jeździ. — Na pożyczonym. — I tak pan tu codziennie... — Prawie codziennie i zawsze słyszę to samo.

W ASOS-2 na Strykowskiej brakuje nie tylko akumulatorów. Od pół roku nie dostarczono tu do „Fiata 125 p” filtrów powietrza, zbiorników paliwa, uszczelkę gumowych pod miskę olejową, uszczelkę piasty i uszczelkę półosi, łożysk do

ści nie ma i nie wiadomo kiedy będzie.

Od lat są kłopoty z narzędziami pomiarowymi: nie ma nowych średnicówek czujnikowych niezbędnych do pomiarów tulei cylindrowych przy naprawach kapitalnych silników; brak narzędzi pneumatycznych mechanizacji prac ręcznych (klucze pneumatyczne, szlifierki, polerki, wiertarki). Kiedyś produkował to wrocławski „Archimedes”, dziś tego nikt nie robi. Ponoć do stacji obsłu-

— Samo pojęcie arbitrażu oznacza rozstrzygnięcie sporu, postępowanie rozjemcze. Czy gdyby weszła w konflikt z jakąś instytucją, to mogłabym być stroną w sporze rozstrzyganym przez Komisję Arbitrażową?

— Nie. Stronami przed Komisją Arbitrażową mogą być tylko przedsiębiorstwa gospodarki uspołecznionej. Natomiast pani może dostarczyć nam informacji o występującej w działaniu jakiegoś przedsiębiorstwa nieprawidłowości, o niewywiązaniu się z umowy. I to może pani zrobić zarówno jako dziennikarz i jako mieszkaniec uczęszczający do sklepu, czy klient kupujący w sklepie.

— A zdarzają się takie przypadki?

— Bardzo często. Korzystamy na przykład z informacji prasowych, aby z urzędu wkraczać tam, gdzie sygnalizuje się niewywiązanie się z umowy, którejs z jednostek gospodarki uspołecznionej.

— Czy osoby prywatne też wam sygnalizują o jakichś nieprawidłowościach?

— To też się zdarza. Mamy również sygnały od komitetów domowych czy osiedlowych na temat niewywiązania się z umów przedsiębiorstw budowlanych.

Muszę tu jednak zastrzec, aby nie wynikało nieporozumienie, że my możemy działać tylko wtedy, jeśli między stronami była zawarta umowa i nie dotrzymano jej warunków.

— Czy obejmują to spory między inwestorami a wykonawcami budowlanymi?

— Owszem. W sprawach budownictwa przemysłowego i tak zwanego towarzyszącego albo ogólnego, chodzi tu o budowę pawilonów, klubów, przedszkoli i temu podobnie, w tych sprawach inwestorzy występują z pretensjami o nieodtrzymanie terminów ukończenia budowy.

— A w sprawach budownictwa mieszkaniowego?

— Tu spory dotyczą jakości budownictwa.

— Musi być tych sporów wiele.

— Na brak pracy w tej dziedzinie nie narzekamy.

— Ale to chyba oczywiste, że spory te rozstrzyganie w społecznym interesie, czyli przeciw partaczącym budowlanym.

— Każdy wykonawca ma obowiązek usunąć wszelkie stwierdzone usterki w terminie uzgodnionym z inwestorem. Takie przepisy zostały ustanowione w interesie społecznym. Przewodawca wyszedł z założenia, że jeśli wykonawca nie usunie wad w terminie, to wady te pogłębiają się, rosną koszty naprawy, do budynku albo nie można wprowadzić lokatorów, albo mieszkańcy oni w budynku z wadami. Z tego też powodu za każdy dzień opóźnienia w usuwaniu wad wykonawca płaci 0,01 proc. wartości budynku i płacić tak będzie do momentu wywiązania się z umowy.

— Wykonawca płaci i zbytnio się tym nie przejmuję.

— Dlatego bardzo często wkraczamy z urzędem, nie czekając, aż inwestor wystąpi o rozstrzygnięcie sporu. A więc działamy w interesie społecznym.

— Dlaczego przedsiębiorstwa budowlane nie przejmują się specjalnie karami konwencjonalnymi?

— Problem jakości w budownictwie jest dość skomplikowany. Przede wszystkim przedsiębiorstwa budowlane znajdują się w roli „chłopca do bicia”. Montując budynek korzystają z produkcji kooperantów i dostawców. Często jakość tych elementów, których używają do montażu nie jest najlepsza. Przedsiębiorstwa budowlane stają często wobec dylematu, albo brać co jest i jakie jest, i realizować plan, albo odmawiać przyjęcia złych elementów i nie wykonać planu. Tylko raz zdarzyło mi się usłyszeć, jak dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego zobowiązał, ba, więcej, zabronił kierownikom budów przyjmowania materiałów czy prefabrykatów złej jakości, oświadczając, że ze złych elementów nie można zrobić dobrego budynku. Była to bardzo odważna decyzja.

To jedna sprawa. Inna, to plan, który zobowiązuje przedsiębiorstwo budowlane do posta-

wienia tyłu a tyłu izb, w takim to, a takim czasie. W planie takim zakłada się, że może powstać tak zwany poślizg, czyli opóźnienie w terminowym realizowaniu tego czy innego budynku i na to przewiduje się pewną część możliwości produkcyjnych. Zakłada się jednocześnie, że jakość musi być najwyższa, więc na usuwanie wad i braków budowa nie ma już rezerwowości. W tym układzie przedsięwzięcie budowlane nie jest zainteresowane terminowym usuwaniem usterek, tym bardziej że kiedy odda budynek inwestorowi, to już spada z niego odpowiedzialność za ten budynek, choć jeszcze obowiązuje okres gwarancyjny (rekoncja) na różne elementy budowy, trwający od 12 miesięcy do 5 lat. W budownictwie przemysłowym okres ten wynosi 3 lata.

— Przedsiębiorstwa budowlane płacą więc kary i nie przejmują się tym. Czy są to wysokie kary?

— Są to miliony złotych.

— Powszechne jest przekonanie, że płacenie kar konwencjonalnych jest przekładaniem państwowych pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej. Czy tak jest rzeczywiście?

SPORY NIE TYLKO O PIENIĄDZE

Rozmowa z prezesem Łódzkiej Okręgowej Komisji Państwowego Arbitrażu Gospodarczego — TOMASZEM CHWIAŁKOWSKIM

— Nie. To nie jest tak. Każdy z nas woli pracować w przedsiębiorstwie, które ma pełne kieszenie, bo to i fundusz zakładowy większy i premie są. Płacenie kar umownych przez przedsiębiorstwo wpływa bowiem i na fundusz zakładowy, i na premie.

Poza tym termin „kary umowne” — czy też konwencjonalne, jak to pani określa — wprowadza trochę nieporozumienia. Kara cojarzy się nam z prawem karnym, a słowo „umowne” że są wprowadzane umową. Są to natomiast trzynastotomowe odszkodowania ustanowione przepisami za niewywiązanie się z przyjętej umową zobowiązań. W wielu wypadkach bardzo trudno jest dokładnie obliczyć straty poniesione na skutek niedotrzymania na przykład terminu dostawy prefabrykatów, czy surowców. Dlatego spory te normują przepisy.

Tu chciałbym dodać jeszcze jedno wyjaśnienie. Z dotychczasowej rozmowy mogłoby wynikać, że cała nasza działalność sprowadza się do ustalania wysokości sum odszkodowań, jakie jedno przedsiębiorstwo płaci na drugiemu z powodu niewywiązania się z umowy. Ale to jest tylko część naszego działania. Nie ograniczamy się do tego. Prowadzimy też prace wyjaśniające, odbywamy spotkania z załogami przedsiębiorstw, gdzie wyjaśniamy skutki społeczne i gospodarcze złej pracy. Służymy radą i pomocą przy zawieraniu umów. Bardzo często bowiem spór zaczyna się już na tym etapie. Pomagając w zawarciu umowy bierzemy pod uwagę nie tylko interes obu umawiających się stron, ale też interes społeczny. Poza tym, niektóre spory rozstrzygamy w przedsiębiorstwie, przy obecności załogi, aby niwafirmić wszystkim skutki niewłaściwego postępowania.

Bywa też i tak, że już w trakcie postępowania wyjaśniającego kontrahent szybko dostarcza towary czy półprodukty, od czego się poprzednio powstrzymywał. Na przykład: w notacji prasowej dowiadujemy się, że na rynku brakuje

jakiegoś towaru, bo producent nie dotrzymał warunków umowy. Zwracamy się więc do przedsiębiorstwa handlowego i producenta o nadesłanie umów, jakie zawarły te przedsiębiorstwa między sobą. I nim nadejdą umowy sprawa zostaje szybko załatwiona.

— A jakie sprawy trafiają do was najczęściej?

— Najwięcej mamy spraw związanych z transportem towarów. W czasie transportu często ulegają one zniszczeniu lub giną. Trzeba ustalić winnego. Są to sprawy na ogół drobne, ale bardzo skomplikowane. Wymagają badania protokołów odbioru przesyłek, a te nie zawsze sporządza się należycie. Jest to żmudne, ale konieczne. Instruujemy więc też, jak trzeba, takie protokoły sporządzać, aby można było ustalić winnego i wysokość odszkodowania.

— Czy zawsze musi być winny?

— Zawsze.

— Czy winnym jest przedsiębiorstwo, czy wskazujące winnego imiennie?

— Dla nas winnym jest jednostka gospodarki uspołecznionej. Ale, jeśli zachodzi tego potrze-

wanych połączeń telefonicznych, z niemożliwością porozumiewania się, co przecież też ujemnie wpływa na funkcjonowanie gospodarki.

— A innych kłopotów z poczta nie macie?

— Owszem, mamy jeden poważny kłopot. Resort łączności jest zobowiązany do wyposażania budującego się osiedla w tak zwane kanały telefoniczne, ale tego nie czyni, usprawiedliwiając się brakiem możliwości. Na skutek naszego nieustannego nacisku przedsiębiorstwo zajmujące się tymi pracami zostało lepiej wyposażone, eo też jest jeszcze niewystarczające w stosunku do potrzeb. Gdyby jednak nie nasz i ciągły nacisk, to częścieli ni do tej pory rozkopywano by gotowe już osiedla.

— Czym uzasadnić można Pana niepokój związany z małą ilością sporów na temat zaopatrzenia rynku?

— To nie jest tylko mój niepokój. Każdy przecież wie, że oferta handlowa jest niepełna, że jakość oferowanych towarów nie zawsze jest najlepsza. Wiemy również, że podstawą zaopatrzenia rynku są umowy zawierane między producentami a przedsiębiorstwami handlowymi. Skoro na rynku występują różne braki, skoro dostarcza się towar nieodpowiedniej jakości, to wniosek stąd prosty, że producenci nie dotrzymują umów. A handel jakoś nie dochodzi swoich praw.

— Jakie Pan widzi tego przyczyny?

— Przeprowadziliśmy w tej sprawie postępowanie wyjaśniające. Jesteśmy w kontakcie z wydziałem handlu urzędów wojewódzkich. Stwierdziliśmy, że po prostu dochodzi do zmiany umów, a więc my nie mamy podstawy dla podjęcia działania z urzędem.

W naszej gospodarce w dalszym ciągu jest rynek producenta i producent dyktuje warunki, a przedsiębiorstwa handlowe godzą się i na zmianę umowy, i na warunki producentów. Poza tym popyt w wielu przypadkach przewyższa podaż. I dopóki tak będzie, handel woli nie zadierać z przemysłem.

— Ale dzieje się to ze szkodą dla klienta.

— Bez wątpliwości. Proszę jednak nie sądzić, że nie obchodzą nas jakości produkcji towarów rynkowych i innych. Otrzymałismy obecnie materiał w tej sprawie z Urzędu Miar i Jakości i rozpoczęliśmy postępowanie wyjaśniające. Trudno mi powiedzieć, jaki będzie tego rezultat. Ale faktem jest, że się tymi sprawami interesujemy.

Zmierzamy do tego — generalnie rzecz traktując — aby umowy były zawierane wtedy, jeśli istnieją warunki do ich realizacji. Nie jest to łatwe. Trzeba jednak do tego zmierzać, bo tego wymaga interes społeczny. Taką jest główny cel naszej działalności.

— Od jak dawna istnieje Państwowy Arbitraż Gospodarczy?

— 11 października 1979 roku mija akurat 30 lat działalności Państwowego Arbitrażu Gospodarczego.

— Czy w miarę doskonalenia funkcjonowania gospodarki wasza działalność nie będzie stawała się mniej potrzebna?

— Nie sądzę. Zmienić się może jej charakter, ale pole naszego działania jest dość szerokie. Współpracujemy na przykład z radcami prawnymi, to wielki zakres działania, bo uważamy, że znaczenie prawa w przedsiębiorstwie jest nie zawsze doceniane, a radca prawny jako strażnik praworządności ma pozycję nieadekwatną do swej właściwej roli. Nasi specjaliści potrzebni są przy zawieraniu umów, a poza tym spory wynikłe z niedotrzymania warunków umowy zdarzają się zawsze i trzeba dążyć do tego, aby już na etapie zawierania umów nie stwarzać do tego warunków. Przedsiębiorstwa niekiedy dość partykularnie rozumieją swój zakres działania, a my — choć abracamy się w sferze działania jednostki gospodarki uspołecznionej, to przede wszystkim kierujemy się interesem społecznym. I to jest nasza podstawowa działalność.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

gi z tzw. „pierścienia” (stacje położone w promieniu stu kilometrów od Warszawy, czyli te bardziej ekskluzywne) narzędzia te są sprawowane za dewizy. Pozostałe muszą nadal posługiwać się narzędziami ręcznymi, jak za czasów, kiedy motoryzacja dopiero raczkowała. A przecież przez stację na Strykowskiej przewija się dziennie około 150 samochodów korzystających z tzw. usług prostych, oraz 100 wyma-

zbytu” przez PKP. Oblicza się, że z reguły w każdym transporcie brakuje około 30 proc. akumulatorów i innych części. Kolej płaci za powstałe w czasie transportu kradzieże, lecz samochody stoją na placu czekając na uzupełnienie braków. Jest to sprawa poważna, z którą, jak dotąd, nikt nie potrafi sobie poradzić.

Parę słów o personelu technicznym zatrudnionym w łódzkich stacjach „Polmozytu”. Nie jest to sprawa nowa, lecz jak dotąd nie do rozwiązania. Rocznie szkoły samochodowe w Łodzi wypuszczają około 200 absolwentów, którzy z reguły trafiają do stacji obsługi samochodów. Ponieważ ich wiadomości teoretyczne są skromne, a praktyka niewielka, są kierowani na kursy „Polmozytu” na różne kursy specjalistyczne i dokształcające (koszt nauki na kursie wynosi 8 tys. zł od osoby). Ale młody człowiek w krótkim czasie zostaje powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej (w niektórych ASOS w ten sposób kończy pracę ok. 50 proc. nowo zatrudnionych). Natomiast spory procent pozostałych mechaników dość szybko daje się zwerbować przez konkurencyjny sektor prywatnych warsztatów samochodowych. Jest

to zrozumiałe, bowiem zarobki tam są lepsze, a odpowiedzialność niewielka lub nie ma jej zupełnie.

Stacje, świadczące tzw. usługi ciężkie (blacharstwo i lakiernictwo) mają jeszcze trudniej. Młodzi nie kwapią się do tych prac, choć są premowane wyżej od innych, woli iść do warsztatów. Zapotrzebowanie jednak na tego typu usługi rośnie, terminy napraw wydłużają się niezmiernie do kilku miesięcy.

Tak więc w „Polmozytu” trwa swoista rotacja personelu technicznego; co roku przychodzi nowi, szkolą się ich, uczy, wdraża do pracy. Wkrótce ci ludzie odchodzą. Powstaje potrzeba zatrudnienia następnych. I tak w koło, w bardzo błędne koło.

Stąd przypadki, że w stacji obsługi wymieniając olej w skrzyni biegów w „Syrenie” młody człowiek spuścił stary i zapomni wlać nowego, albo nie pamięta o zakręceniu korka spustowego itp. Co z tego, że jak zapewniamy mnie w ASOS na Pokładowej, niesumiennego pracownika natychmiast zwalniam z pracy, skoro na jego miejsce przyjmuje się kolejnego absolwenta szkoły samochodowej, który będzie musiał uczyć się niemal od nowa? W swojej wieloletniej praktyce samochodowej do-

świadczymy różnych przypadków, które mnie nauczyły jednego: wyjeżdżając ze stacji obsługi trzeba osobiście sprawdzić, czy wszystko zostało zrobione tak, jak być powinno. Brak zaufania? Raczej przezorność.

Powyższe obserwacje nie nastroja- ją optymistycznie. Narzekania na pracę stacji obsługi samochodów są i będą, bowiem idealów nie ma. Zmniejszyły się jednak wpisy do ksiąg żądań (zaczynają przeważać podziękowania za dobrą pracę i szybkie usuwanie usterek w samochodach), nie ma tylu skarg. Trudno bowiem uwierzyć, by ludzie, zarobki których są uzależnione od ilości wykonanej przez nich pracy, starali się za wszelką cenę pozbyć się klienta. Może tylko czasem chciałoby się, by człowiek wypisujący nam zlecenie naprawy naszego samochodu w biurze obsługi klienta, był bardziej uprzejmy, nie traktował nas z wyższością, nie dawał do zrozumienia, że od niego zależy czy odjedziemy stąd naprawionym własnym samochodem, czy też tramwajem.

Sam pisałem krytycznie o pracy łódzkiego „Polmozytu”, a znając trudności motoryzacyjne (nie jedną godzinę spędziłem w stacjach napraw) wiem, jak trudno czasem być obiektywnym. Oglądając pracę stacji

obsługi zazwyczaj od jednej strony i nie chcemy przyjąć do wiadomości, że czegoś nie ma, że nadal będziemy jeździć niesprawnym samochodem, bo od wielu miesięcy nie dostarczono zwyczajnej uszczelki. Nieraz nie potrafimy odróżnić złej woli od niemożności udzielenia nam pomocy.

Zarzuć jest wiele, pretensji dużo więcej. Dział podnosimy sprawę braku części, urządzeń pomiarowych i diagnostycznych, nie najlepszym przygotowaniu personelu technicznego. Sądzę, że są to pytania, na które należą się, nie tylko nam, rzeczowe i wyczerpujące odpowiedzi. Nie przypominam sobie, aby któryś z dyrektorów PP „Polmozytu” w Łodzi zabierał głos na łamach prasy. W tym przypadku milczenie niczego nie tłumaczy.

Motoryzacja przestała być luksusem, choć nadal pozostaje dla właścicieli samochodów najpoważniejszą pozycją w domowych budżetach. Samochodów przybywa, natomiast jakość i ilość świadczonych usług przez stacje obsługi jest nadal niezadowalająca. Jak długo jeszcze i dlaczego?

EUGENIUSZ IWANICKI

KOŁO

gających napraw średnich. Jest to poważna ilość, choć tę ilość można by było zwiększyć co najmniej o 10 proc. gdyby istniały potrzebne narzędzia pomiarowe i części na wymiar. Niestety, większość klientów odjeżdża sprzed budynku nie załatwiona.

Poważną ilość części zamiennych, które winny być zamontowane do samochodów prywatnych użytkowników, montuje się do samochodów nowych, dostarczanych do „Polmo-



„Dumni ze swoich własnych osiągnięć, nazbyt rzadko uświadamiamy sobie to, iż jesteśmy dłużnikami historii, że ciążą na nas konkretne wobec niej zobowiązania”.

W wielkich i pięknych jubileuszach, które — jak dziś nasze trzydziestopięciolate — koronują lata twórczości, miesiące się także nasze indywidualne rocznice, takie „okrągłe” liczby lat zamykające te okresy pracy, której wyniki pozwalają przypuszczać, iż nie zmarnowaliśmy danych nam przez historię szans i otwartych przez jej bieg perspektyw. Dumni ze swoich własnych osiągnięć, nazbyt rzadko uświadamiamy sobie to, iż jesteśmy dłużnikami historii, że ciążą na nas konkretne wobec niej zobowiązania. Mnogość zajęć nie zawsze pozwalała na snucie refleksji, w codziennym dniu po prostu nie starczyło czasu i dopiero zapamięta- nia urosła, stwierdzamy, że organiczne- nym wręcz warunkiem naszych losów z tym okresem historii kraju, w którym wypełniali się żywymi tre-

ścią indywidualne zyciorysy. Tak właśnie „wyrywany do odpowiedzi” z okazji zawartej w haśle cyklu publikowanych tu refleksji i wspomnień uświadomiłem sobie te- raz, że w naszym wspólnym trzydziestopięciolatec mieszcza się trzy najważniejsze dziesiątki moich lat. Na ten zaś przydługi nieco wstęp pozwoliłem sobie dla wyjaśnienia istoty uczuć, jakie budzi we mnie jubileusz trzydziestopięcioletnia PRL i rozwiązania tego, co w ujęciu wy- znaczającym wydać się może czytelnikowi ich zawartość, która datyby mylnie świadectwo o mojej zbyt wysokiej ocenie własnego miejsca i pracy. Chcę najusilniej podkreślić, że jestem głęboko przekonany, że po prostu wiem, iż nie byłoby mojego prywatnego jubileu- szu, gdyby nie owe trzydzieści pięć spokojnych lat, których otwierają- ca je data oznaczała dla mnie naj-

cienniejszą możliwość rozpoczęcia nowego życia, że nie byłoby go bez Teatru Nowego, w którego jubileusz pozwalałem sobie wpisnąć swój własny, a przecież i ten teatr nie powstałby i nie trwał w swej ciągłości w innych czasach i innym systemie społeczno-politycznym, w latach innych niż te, które przyniosło nam wyzwolenie.

Wyzwolenie... Pamiętam — było to może na tydzień przed dziesiątym dnem stycznia — mroźny zimowy zmierzch. Jechałem tramwajem ulicą Kilińskiego. Nagle wszyscy usłyszeliśmy coraz bliższy warkot samolotów, odgłosy detona- cji, strzały. Krótka wtedy obecność nad miastem radzieckich samolotów wywołała wśród Niemców straszliwą panikę. Ta zaś dezorganizo- wała do wszystkiego, co przez pięć długich lat wydawało nam się jakąś szczególnie trudną do pokonania podstawą siły okupanta — ten ich nieład, oparty na okrutnym rygorze porządek i zoidacką pruską dyscypliną. Wyjątkową radością, jakiej dziś nie da się opisać napawała mnie widok walącego się „ordnundu”. Tramwaj nie pojechał już dalej. Zupelnie ciem- na, zastana odłamkami szkła Piotrkowską siedłem do domu mieszcza- cego się wtedy w Rudzie Pabianic-kiej. Następnego dnia Niemcy ucieka- li w popłochu, a ja czułem, że oto nadchodzi nie tylko kres oku- pacyjnych cierpień, ale i początek nowego życia, innego niż to, które rozpoczęłem przed wojną. Ten moment uświadomienia sobie począt- ków czasu wielkich przemian otwo- rzył moje trzydziestopięciolate.

Moje trzydziestopięciolate... Przyniosło mi ono możliwość reali- zacji tych zamierzeń, z których po- wodowany ciężkim przed samą wojną warunkami życia musia- łem zrezygnować, dając szansę up- ragnionego kontynuowania trady- cji rodzinnej otwierając przede mną bramy teatru i aktorstwa. Nim jednak w pełni zdałem sobie sprawę, że jeszcze wszystko mogę zacząć od nowa, że to, co onegdaj od siebie odsunąłem, co wydawało się odległe i już niemożliwie ciągle jeszcze jest przede mną, nim krok po kroku zacząłem realizować mar- zenie o teatrze — stanąłem, jak wszyscy łodzianie do wykonanej dotychczas pracy (w przemyśle włókienniczym) już pierwszego dnia po wyzwoleniu. Była w nas wszystkich wtedy spontaniczna chęć nadania nowym dniom, dniom budowy nowej Polski przyspieszo- nego rytmu solidnej pracy. Tyle było przecież do zrobienia...

Do zrobienia było wiele... Także w sferze kultury. Otwierały się no- we możliwości jej tworzenia i tego, co dziś określamy mianem uczest- nictwa w kulturze. Rodziły się no- we, nie znane dawniej formy życia kulturalnego. Powstawały przyka- ładowe kluby i świetlice, a w nich sekcje, kółka zainteresowań, ama- torską sceny teatralne...

Na takiej właśnie amatorskiej scenie teatralnej (a „moje” Zakła- dy Przemysłu Bawełnianego im. F. Dzierżyńskiego, którym dziś przy- była dzwiczka nazwa „Eskimo”, jako jedne z pierwszych w Łodzi zorganizowały u siebie teatr ama- torski) zobaczył mnie któregoś wie- czoru Aleksander Zelwerowicz — wielki aktor, a wtedy także rektor Państwowej Wyższej Szkoły Teat- ralnej i... nie musiał zbyt długo namawiać mnie na podjęcie stu- diów w swojej uczelni. Jako doro- sły, ukształtowany już człowiek, człowiek — co wtedy nie było dla mnie bez znaczenia — już zarabia- jący rzuciłem wszystko, jeszcze ty- lko dla myśli o teatrze, która jed- nak bardzo szybko skonkretyzowa- ła się tym zespołem, za którego członka-zalóżyciela wolno mi uwa- żać się dzisiaj.

Przyszły więc lata nauki połączo- nej z praktycznym poznaowaniem zawodu na scenie Teatru Wojska Polskiego. Byłem zapałym entu- zjastą, jak wszyscy w tych czasach swoiście romantycznych, pełnych uniesień i wiary we własne siły. Wszyscy chcieliśmy budować, budować, budować... Nową Pol- ską i nowy w niej teatr; teatr zaangażowany w two- rzenie nowej rzeczywistości polity- cznej, kształtujący nowy światop- ogląd widza i popularyzujący no- wą, wolną od wpływow mieszcz- skiej sztuki estetykę.

Trzydzieści lat temu znalazłem się w tej grupie młodych aktorów i absolwentów PWST, która z wia- ścym dla młodości jej członków zapałem tworzyła Teatr Nowy, w zespole ludzi, któremu pewnie ty- lko na fall ówczesnego ogólnego en- thusjazmu wszyscy uwierzyli i zau- fali, ale który nie zawiódł tego za- ufania ani wtedy, ani — jak sądzę — nigdy później. Pierwszą premie- ra tego nowego i nowego teatru odbyła się 12 listopada 1949 roku i w tym dniu zaczął się etap mo- jego trzydziestopięciolatecia najwa- żniejszy — Teatr Nowy. W dokła- dnie już dzisiaj zanikającej i opi- sanej, a wtedy inauguracyjnej dzia- łalności naszej sceny „Brygadzie szlifera Karhana” zagrał także mój ojciec. Widać i on, który nie- jedno widział i sam tworzył przed-

woją teatr robotniczy, dał się por- wać naszym zapalowi...

Mój ojciec... Gdy poproszony przez zespół o skłonienie ojca, doj- rzalego i znanego w Łodzi aktora, do stałej z nami współpracy, przedstawiałem mu w domu nasz program ideowy i wynikające z nie- go zamierzenia artystyczne, kiwał tylko głową mówiąc: Synu, ja też chciałem kiedyś inaczej, dla robot- ników... Ano, popracujcie — mówił — zobaczmy... Ale przyszedł do nas, chciał jeszcze raz wziąć udział w tworzeniu „nowego”. Przyszedł i został, a w jubileuszowym, pię- tynastym sezonie działalności Teatru Nowego obchodził na jego scenie pięćdziesięciolatec swojej pracy ak- torskiej. Na swój jubileusz przygo- tował rolę starego przewoźnika w „Moście” Jerzego Szaniawskiego. Giałem w tym przedstawieniu jego syna i wiecór premiery żyje w mej pamięci jako jedno z mocniej- szych przeżyć. Dziś widzę w tym jasną i prostą prawidłowość: nie- wielki jubileusz młodego jeszcze wtedy i kształtującego dopiero swe oblicze teatru, wielka rocznica pra- cy starego aktora, który swą doj- rzałość ofiarował młodemu, oni zaś docenili ją i uhonorowali...

Relacja z moich trzydziestu pię- ciu i trzydziestu lat wypełnionych zwykłą pracą, tyle tylko, że wyko- nywaną w silnym poczuciu respo- nse, owoce najcenniejszego jak sądzę, wewnętrzne go efektu na- szych wspólnych w Teatrze No- wym działań artystycznych, nie ma moim zdaniem zbyt wielu szans, by stać się pasjonującą czytelnika lek- turą. To wszystko, co mógłbym wie- dzieć o swojej pracy nie jest ani efektowne, ani szczególnie barwne.

Mój zyciorys artystyczny wpisany jest w dzieje Teatru Nowego, te zaś wyliczać można w opraco- waniach, kronikach i programach teatralnych. Tam też zychylił mi czytelnik znajdzie wykaz stu prze- szło ról, jakie zagrałem w zespole i z zespołem Teatru Nowego oraz listę reżyserowanych przez mnie sztuk.

Tylko w warunkach, jakie po- stawiały z chwilą narodzin obchodzo- nego dziś naszego trzydziestopię- cioletnia mógł powstać nasz teatr. Tylko te warunki pozwoliły mi zagrać w jego zespole o- we sto ról i wyreżyserować wraz z zespo- łem kilkanaście przedstawień. One też wyrobili we mnie potrzebę współwzięcia w działalności politycznej i społecznej. Praca w teatrze jest dla mnie najważniej- szą z jej form.

B. L... ną, ale sta- wysłał do Paryżu 5 pozostawia jego kana- jaką odbył cie oświadc- rego nie m- mi Umieję- kandydata, rebowicz w- w gru- dymisję. Ro- gował, Re- lutego 189- powołują- nia ubiegł- kazywał „- bowicza z- Bibliotece- dnia 1 kw- Komitetu- wówczas- J. Rusty- nosił dale- że na „u- sadę adiu- sprowadz- lepiej się- ków, zam- nadto sąd- niu zawo- by nie n- Akademii- szej Bibli- znaleźć c- tego miej- mionego- kierunkie- wiązkom- kowie Ko- steyko i- willi takie- rego J. K- gorejcei. E- wspomnia- dysław Su- taj od 186- skiej gub- lat pięc- i wprawdi- przednio- der porzą- kojnego c- poszłakow- Limanows- lepsze zda-

J. Korze- 1896 r. d- zdania c- wego. Dor- W. Suzin- jak najl- kandydat- porządk- 1895 zda- pendyst- więc tem- coś jedn- blisko oś- wentury- rące te p- Suzin zo- Porebow- Biblioteki-

Zainteresowanie osadnictwem na Ziemiach Zachodnich było w Opoczynie wyjątkowe. Nie dziwne. Gleba uboga, przeważnie piaski i czwórki. Cennie je charakteryzowało powszechnie znane porzekadło: „Opoczyńskie kraje — korcez siewie, kopę zbiera, kopa — korcez daje” albo „ziarno za ziarno — sroma darmo”. Ponadto ziemia rozdrobniona. Rolników dużo, gruntów mało. Toteż perspektywy posiadania gospodarstwa na Ziemiach Zachodnich uśmiechały się biedocie opoczyńskiej.

Osobnicy zorientowani w aktualnych wówczas problemach polskiej rzeczywistości, czytający prasę, słuchający radia, kontaktujący się z organami władz politycznych i administracyjnych, pierwsi obejmowali najlepsze gospodarstwa pomieścił. Prawda, że kontrpropaganda straszła kandydatów na osadników wehrwofami, wyolbrzymiała wojenne zniszczenia terenu i stekiem innych, mniejszych czy większych plag. Jednak większa nakaz chwili, zdawała sobie sprawę z wydarzeń i postawy wrogich czynników oraz wykłonnicy wojny ludzi. Akcja prasowa była na ustach wszystkich. Zebrania rad narodowych, odprawy wójtów i soltysów poświęcone były w większości problematyce osadnictwa. PUR czyli Państwowy Urząd Repatriacyjny w Opocinie miał pełne ręce roboty. W siedzibach władz powiatowych w Opocinie oraz w urzędach gminnych ludność gromadnie załatwiała formalności związane z wyjazdem.

Pomimo dobrego przygotowania akcji, organizowania wyjazdów dla pełnomocników gmin, celem rozpoznania warunków bytowania na Ziemiach Odzyskanych wielu biedakom trudno było szybko podjąć decyzję wyjazdu. W poczekalni mojego gabinetu bywało wówczas tłoczno. Większość interesantów pragnęła usłyszeć od wicestarosty potwierdzenia dobrych warunków wyjazdu na zachód.

— Bo to, wicie, starosta, najlepiej nam doradzą. Oni kierują się prawdą, tylko prawdą. A ludzie różnie gadają. Oni wiedzą wszystko! — jak, co, kto, gdzie, kiedy... Starosta do starosta — nasi są. Uśmiechałem się. Przyznam, że schlebiali mi to zaufanie. Patrzałem interesantom głęboko w oczy. Staralem się jak najkrócej, jak najdosadniej, „po chlopsku”, więc przekonująco, wyjaśnić warunki rozliczeń, w przyszłości, tych, jak oni mówili — darmowych kosztów.

Pokazywałem oryginalne listy i fotografie od opoczyńskich osadników ze Sławna Koszalińskiego. — Tak, oni, znamy ich. Jakie pobudynki, co! Widzieli ich w przyrodziewku, ubranii, ludowym, opoczyńskim, podziwiali, że piasczą funkcje wójtów, soltysów i prezesów różnych organizacji. Podawałem listy. Czytacie. Patrzały na niewprawne pismo. Sylabizowali. Hektarów tyle, budynki takie, drogi gładkie, woda w obiejsku. No, no, no! Podawałem im slupskie i sławieńskie gazety. Czytacie, jak władza ludowa dba o ludzi, jakie stwarza warunki do zagospodarowania ziem.

To za dwa, trzy rok i kto pozna, że to inna ziemia niż opoczyńska. I nauczyciele pojechali. Rzemieślniki też. Podnosili ludzi na duchu. Burzyłem obawy. Roztaczałem perspektywy. Liczyliśmy dochody z hektarów i inwentarza żywego. Dostatek. Dzieci nie będą głodować. Będą miały buzie jak księżyc. Wójtowie wasi, soltysi wasi, nauczyciele wasi — na ziemi waszej. Będziecie śpiewać po opoczyńsku, tańczyć po opoczyńsku, mówić po opoczyńsku. Tylko się nie wstyďte gwary, stroju, zwyczajów!

— O, starosto, żeby wasze słowa ciałem się stały. — Kłaniali się nisko, w pas. — Możecie mi wierzyć, że staną się ciałem. Z uśmiechami, zadowoleni, pokrzepieni opuszczali mój gabinet.

Wiadomo, chłop polski był oszukany przez wroga. Trudno było pozyskać szybko u niego ufność. Nic dziwnego, że decyzyjnie o opuszczeniu „swoich stron” podejmował po długich, długich walcach ze sobą.

— Bo tu, u nas, to ptaki po naszymu się odzywają. Słonce, wiatr, sygnaturka z kościółka, straż z remizy, głos inwentarza „po naszymu” mówią, tak, tak, mówią, po swojsku się odzywają, swoją mową mają.

— A cmentarz? — Ojciec nasi, matki nasze, pobliscy nasi,

krótnie charakter religijno-ob- szycajowego misterium. A to odwracano krowę w kierunku wioski, by zęgniała się z nią.

— Może na zawsze, może — powtarzali, łamał się im głos, ukradkiem sięgali dłońmi do oczu. To znów cieleciu smaro- wali gębuse krowiecem, by nie uległa tam, na nowej niel, czarom, by zdrowo się chowała. A to wyjmowano fotografie swoich bliskich, zmar- lych, rozmawiano z podobizna- mi niby normalnie, lecz wy- czuć można było łamany głos.

stań nam i tam dobra. Bądź pochwalona, przyjmij nas, jak matka dzieci swoje.

Analizowałem postępowanie wyjeżdżających. Moja postawa, przedstawiciele władzy, ich władzy, władzy rolników, for- nali, robotników rolnych i le- snych, drobnyrolnych rolników, najczęściej, jak w Opocynie, najciemniej, właścicieli dłu- gich, lecz wąskich, szerokości brzo- niw, najmłodszy, parob- ków do wszystkiego, do każdej najbrudniejszej pracy, pedżne bytujących „niby rzemieślni-

„Słowni- okazywał po latach Limanow na pogar- siąc, hono- do pism regularni moje poc- pióra — oczywiści życie z c- czasu zast- stolicy F- a główni- Rumuni, wałem się nie się r- parcie”. wał na - do podr- jekt: 14- Dnia 14- pisał do

„Nie egzystow- lem się jechać w- nak zatr- W mie- za 14 si- M. Gier- cyzji: „Slysz- za zie- licij. Pr- dobrze kam się pieram Wprawd- sunięcie cjalistyc- bieda, o- tym ma- dze mo- i który- zupełno- żada na- da Wład- działaj. Deficyt na jego-

B. Limanowski spotkał się z grzeczną, ale stanowczą odmową. L. Gadon wysłał do niego list, datowany w Paryżu 5 października 1892 r., nie pozostawiający złudzeń co do losów jego kandydatury, zaś w rozmowie, jaką odbył z zainteresowanym, otwarcie oświadczył, że powodem, dla którego nie może go poprzeć w Akademii Umiejętności na wolne stanowisko, są socjalistyczne przekonania kandydata. Posada przypała E. Porebowiczowi, ale nie na długo: już w grudniu 1893 r. zgłosił on swoją dymisję. Kiedy Zarząd Akademii nie reagował na rezygnację, delegat J. Korzeniowski pismem z Paryża z 22 lutego 1896 r. przypomniał tę sprawę, powołując się na swój list z 22 grudnia ubiegłego roku, w którym przekazywał „rezygnację p. dra E. Porebowicza z posady bibliotekarza przy Bibliotece Polskiej w Paryżu” od dnia 1 kwietnia 1896 r. Członkowie Komitetu Miejskowego — a byli nimi wówczas W. Czartoryski, L. Gadon, J. Rusteyko i W. Mickiewicz — donosili dalej delegatowi, że na „niedostatecznie uposażoną posadę adiunkta Biblioteki” nie należy sprowadzać kandydata z kraju, ale lepiej jest rozejrzeć się wśród Polaków, zamieszkałych w Paryżu. Ponadto sądzili, że skoro „o wynalezieniu zawodowego bibliotekarza mowy być nie może, skoro zresztą delegat Akademii jest (...) dyrektorem tutejszej Biblioteki Polskiej, wystarczy znaleźć człowieka zaufanego, znajomego miejscowe warunki i obywateli z Biblioteką”, który by pod kierunkiem delegata podolał obowiązki biblioteczne. Trzej członkowie Komitetu — L. Gadon, J. Rusteyko i W. Mickiewicz — przedstawił takiego właśnie kandydata, którego J. Korzeniowski poparł jak najgorzej. Był nim — jak czytamy we wspomnianym liście delegata — Władysław Suzin, „stałe zamieszkały tutaj od 1864 r., pochodzący z kowieńskiej gubernii, powstaniec z 1863 r., lat pięćdziesięciu kilku, niezamożny, wprawdzie bez naukowego wykształcenia, ale używany już poprzednio do zajęć bibliotecznych, nader porządnym i chętnym, równego i spokojnego charakteru i uczciwej, nieposzlakowanej opinii”. Znalgo i B. Limanowski i miał o nim jak najlepsze zdanie.

J. Korzeniowski w liście z 22 lutego 1896 r. dołączał się w zupełności do zdania członków Komitetu Miejskowego. Dorzucał ze swej strony, że zna W. Suzina od trzech lat ma o nim jak najlepszą opinię, że w 1893 r. kandydat pracował przy gruntownym porządkowaniu Biblioteki „w 1894 i 1895 zastępował niedługożyciwej, zmarłej p. Żuka-Skarszewskiej (a więc temu kandydatowi do posady choć jednak skąpego — AFG), od blisko ośmiu miesięcy prowadzi inwentaryzację i katalogowanie”. Gorące te polecenia odniósł następca i W. Suzin został niebawem skustek E. Porebowicza na stanowisku adiunkta Biblioteki Polskiej.

jechać do Galicji mam na widoku dwa cele: spróbować, czy nie uda się mnie tam pozostać oraz przeprowadzić układy z księgarzami co do wydania kilku większych prac. Gdyby nawet nie zezwolono na stały mój pobyt w Galicji, to nie wątpię, że nie odmówiono by pozwolenia na parę tygodni lub miesiąc. Przez ten czas postaram się umieścić Toła (tj. syna Witolda — AFG) w jakiegokolwiek szkole, ułożyć się z księgarzami itd., a następnie wyruszę już sam na zwiaidy albo do Rumunii, albowidzie indziej.”

Dzieje swej galicyjskiej peregrynacji opisał B. Limanowski stosunkowo dokładnie w swych pamiętnikach. Rzeczywistość przekreśliła jego optymistyczne nadzieje, jakie żywił co do możliwości osiedlenia się w Galicji, nawiązania korzystnych kontaktów wydawniczych i uzyskania trwałej podstawy materialnej dla utrzymania licznej rodziny. Maria Limanowska, śledząca z niepokojem losy męża, już

skim było nie co innego, jak jego socjalistyczne przekonania, z niechęcią do szczęśliwszego konkurenta, dopatrywała się w nim „paniczą” i „arystokratą”. A przecież S. Żeromski z pewnością nie był ani jednym, ani drugim, na pewno też nie miał „dużej fortuny”...

„Pojechałem do Zurychu mając dwie obietnice: Dulebę — płacenia honorarium w miarę nadsyłania do druku arkuszy dzieła „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość”, tudzież Bukowskiego i Lewakowskiego, że dostanę posadę bibliotekarza w Muzeum w Rapperswilu. I obydwie te obietnice chybiły. Ani Duleba, ani Bukowski nie odpisali nawet na moje listy”

Słowa te, zanotowane w pamiętnikach, nie były zdolne oddać w pełni dramatu walki, jaką B. Limanowski musiał toczyć o kawałek chleba dla siebie i swojej rodziny. Do napisania dzieła, zamówionego przez

cze w tym miesiącu, a na początku kwietnia zabiorę się do pisania litewskiej broszury.”

Widocznie jednak do wypłacenia owej zaliczki nie doszło, skoro B. Limanowski musiał zaciągnąć wspomniany już niewielki dług, aby powrócić do Paryża. W kilka dni po jego przyjeździe do stolicy Francji H. Gierszyński wypisał mu „część honorarium za napisanie »Historii Litwy«” oraz poinformował, że będzie otrzymywał niewielką stałą pensję jako sekretarz Towarzystwa Polskiego, jak B. Limanowski nazywał w swoich listach i pamiętnikach Związek Wychodźców Polskich we Francji. Pensja miała być więcej niż skromna: wedle pamiętnikarskiej relacji wynosiła ona zaledwie 40 fr miesięcznie, a pochodziła nie z kasy Związku, zwykle pustej, ale z prywatnych funduszy H. Gierszyńskiego oraz członka zarządu Kleczewskiego. Oblicano również B. Limanowskiemu postać się dła o „admini-

Strzać jakiego domu” Państwo Limanowski opuścili mieszkanie przy ulicy Scipion pod numerem 5, gdzie żona uczonego-socjalisty Maria osiedliła się po wyjeździe męża z Francji i zamieszkała pod adresem 76 Boulevard St Marcel, niedaleko od dawnego naszego mieszkania, u pewnej rodziny szwajcarskiej” by niewiele później osiadł na dawnym miejscu, przy tym samym bulwarze pod numerem 38 bis.

„Służba moja w ubezpieczeniu trwała lat trzydzieści, aż do wyjazdu z Paryża. Była ciężka, nudna, pańszczyźniana, lecz ratowała mnie i rodzinę moją od zupełnej nędzy. Pensja moja była bardzo skromna, lecz z biegiem lat coraz się powiększała, tak że w ostatnich latach prawie do trzystu franków miesięcznie dochodziła, dorabiałem też nieco pracą literacką, chociaż nader mało, gdyż nie z myśli zarobku odbywała się ona.”

Tak to, dzięki bezinteresownej pomocy i życzliwości A. Warszawskiego B. Limanowski uzyskał wreszcie pracę, która zapewniła utrzymanie zarówno jemu, jak i jego rodzinie. Żona Bolesława, Maria komunikała o tym z radością M. Gierszyńskiej w liście, pisany z Paryża 4 sierpnia 1894 r.:

„Z nowin najważniejszą, że Bolesław dostał zajęcie w La New York, za staraniem pp. Zielińskich i p. Warszawskiego, który znany nam był tylko z nazwiska. Tak więc, pod czas gdy moiż i wpływowi odmówili brutalnie pomocy danie pracy, lub lekceważąc nie odpisali na liczne listy, pan Warszawski gorąco zajął się naszą dolą i umieścił męża w biurze, gdzie sam pracuje. Czy się tam Bolesław utrzyma? To kwestia jeszcze nie rozstrzygnięta, wlek gra tu ważną rolę, lat 50 to nie pora i rozpoczucie życia biurowego. Ale on robił toczny brzyty się chwycił. Bolesław wychodził z domu o ósmej rano i wraca o ósmej wieczorem, zgłodniały i zmęczony nad wszelki wyraz.”

Tym razem obawy utraty z takim trudem uzyskaną pracę okazały się płonne: B. Limanowski utrzymał się na tej posadzie tak długo, jak tego pragnął.

W relacji pamiętnikarskiej o latach spędzonych w Paryżu B. Limanowski niewiele wspominał o swoich stosunkach z A. Warszawskim-Warskim. Zanotował jakieś mgliste wspomnienie o rozmowie, w której A. Warszawski wyrażał optymistyczne nadzieje na zmiany systemu rządów w Rosji w związku z wstąpieniem na tron Aleksandra III. Natomiast silnie zaakcentował okoliczności, w których ich drogi się rozszły. Stało się to w 1896 r., podczas obchodu dziesiątej rocznicy stracenia przywódców Proletariatu, kiedy obaj — Limanowski i Warski — wystąpili z przemówieniami, w których nawiązywali do tradycji tej pierwszej polskiej partii socjalistycznej jako genealogii tego kierunku współczesnego ruchu rewolucyjnego, który każdy z nich reprezentował. Owe silne różnice, jakie narosły w latach późniejszych, nie powinny jednak przesłaniać nam świadectw wzajemnych dobrych uprzednio stosunków obu wybitnych działaczy polskiej lewicy socjalistycznej.

Można powątpiewać, czy osoba B. Limanowskiego była do 1894 r. znana B. Warszawskiemu — jak sugerowała jego żona — jedynie „z nazwiska”. W archiwum H. Gierszyńskiego zachowały się bowiem dwie kartki pocztowe z końca grudnia 1892 r., zawierające zaproszenie do kina na posiedzenie sądu honorowego w sprawie Wacława Handelsmana, w związku z oskarżeniem, wniesionym przez Ludwika Sawickiego. Autorem obu tych kartek był A. Warszawski, występujący w imieniu „upoważnionych” do wybrania sędziów. On to właśnie zaproszał H. Gierszyńskiego do wzięcia udziału w posiedzeniu sądu honorowego, w którym mieli ponadto uczestniczyć B. Limanowski oraz Wanda Cezaryna Wojnarowska. B. Limanowski, który w pamiętnikach będzie sporo pisał o sprawie W. Handelsmana, podał w nich, że do udziału w sądzie zaprosił go „listem z 31 grudnia 1892 r. L. Sawicki. Nie wspominał o tym; że Sawicki do doń już wcześniej, skoro — jak informuje o tym kartka pocztowa A. Warszawskiego do H. Gierszyńskiego z 23 grudnia 1892 r. — na kilka dni przedtem sam prosił o przełożenie terminu zebrania się sędziów. Zapewne więc w czasie, kiedy kreślił swoje wspomnienia, zatarło się także w jego pamięci, że wówczas to rektował się z A. Warszawskim-Warskim.”

ANDRZEJ F. GRĄBSKI

TROSKI I NADZIEJE UCZONEGO SOCJALISTY

w listopadzie 1893 r. informowała M. Gierszyńską o decyzji władz galicyjskich o wydaleniu niebezpiecznego socjalisty.

We Lwowie spotkał się bowiem B. Limanowski z Karolem Lewakowskim, weteranem powstania 1863 r., obecnie posłem do parlamentu wiedeńskiego, człowiekiem mającym w Galicji znaczny wpływ który — jak paryski przybysz zanotował w swych pamiętnikach — „dużo gadał, chwalił się, obiecywał swą pomoc co do bibliotekarstwa w Rapperswilu”. Podobne obietnice czynił również H. Bukowski. B. Limanowski dawał im naiwne wiarę, żona jego nie miała jednak złudzeń.

M. Limanowska powiadała, że Maria Szeliga zapewniła ją, iż razem ze swym mężem postara się znaleźć jakąś posadę dla Bolesława. Opowiadała też o staraniach Gabrieli Zapolskiej, by znaleźć jakiś sposób zarobkowania dla strapijonej żony uczonego-socjalisty. M. Gierszyńska, która — jak pamiętamy — stosunkowo niedawno sama starała się uzyskać dla B. Limanowskiego posadę w Rapperswilu — z uwagą śledziła bieg spraw zaprzyjaźnionj rodziny. W odpowiedzi na jej zapytanie M. Limanowska pisała z Paryża 27 lutego 1894 r., załączając list od męża: „nigdy już nie wolno nawet marzyć, by Bolesław otrzymał miejsce, o które tak długo prosił, miejsce nie nie znaczące, a którego przecież tak gorąco pragnął”

Odpowiadając na pocieszający list M. Gierszyńskiej, 2 marca tego samego roku żona B. Limanowskiego donosiła:

„Miałam słuszną, pisząc do Bołka, że zaci Państwo odczułcie mocno wyrażoną mu niesprawiedliwość, wiem także z ust wiarygodnych, że p. (Józef) Gałęzowski bardzo żaluje i ubolewa nad losem mego męża, a jestem pewna, że pan Bukowski pluł na podobną decyzję. Miałam jeszcze nadzieje, że miejsce to otrzyma Jeż, bo przecież przez długą pracę swoją zasłużył na pamięć rodaków, ale gdzie tam, miejsce dostało się paniczowi dużej fortuny, nauki, ale arystokracje. Jeż otrzymał stypendium po czcigodnym Lenartowiczu i jest to już trzecia scheda po naszych sławach. Obecnie Jeż ma zapewnioną starość, a raczej zgrzybiałość i pani będzie mogła jeść same czekoladki, zamiast innych posiłków.”

B. Limanowski w liście do H. Gierszyńskiej, pisany z Zurychu 6 marca 1894 r. potwierdził, że otrzymał od J. Gałęzowskiego odpowiedź, że nie mam co rachować na posadę w Rapperswilu”. W pamiętnikach przedstawił tę sprawę następująco: „zapytałem się Gałęzowskiego, czy mogę rachować na posadę bibliotekarza w Rapperswilu, otrzymałem odpowiedź, że na miejsce Wasilewskiego został naznaczony Żeromski. Nie miałem więc co czekać i postanowiłem wrócić do Paryża.”

B. Limanowski udał się więc w drogę do Francji, półwczasyz uprzednio od jednego ze znajomych maleńką sumkę 5 fr. Stanowisko bibliotekarza w Rapperswilu objął z dniem 1 czerwca 1894 r. S. Żeromski, aby opuścić je dopiero w połowie 1896 r. M. Limanowska, która do brze zdawała sobie sprawę z tego, że zasadniczym powodem, dla którego odmówiono jej mężowi tej skromnej posady w Muzeum Narodowym Pol-

Bronisława Dulebę, zabrał się natychmiast po przybyciu do Szwajcarii. Praca ta absorbowała go całkowicie tak, że wzbrał się przed podjęciem innych zajęć. Dnia 3 stycznia 1894 r. pisał z Zurychu do H. Gierszyńskiego, który właśnie w imieniu Towarzystwa Litewskiego zaproponował mu napisanie krótkiego zarysu historii Litwy, w zamian za honorarium, mające wynosić 200 fr.:

„Jak już wspominałem, zobowiązałem się napisać krótką historię porobizorową (1772 — do dni naszych) i obecnie po całych dotychczas nad tym pracuję. Obecnie jestem w dobie Królestwa Kongresowego, przed rewolucją 1830 r. Zanim tej pracy nie skończę, nie mogę się wziąć do innej, a to tym bardziej, że od Komitetu Obywatelskiego, we Lwowie wybrałem już z tego tytułu dość znaczną zaliczkę. Jak się obliczam z czasem, to nie mógłbym wcześniej zająć do pisania żądanej przez Towarzystwo Litewskie broszury, jak w miesiącu kwietniu. Jeżeli o pospłech chodzi, to chętnie się zabiorę do tej pracy. W każdym jednak razie jestem mocno wdzięczny tak Czcigodnemu Obywatelowi, jak i Towarzystwu Litewskiemu za pamięć życzliwą o mnie.”

Niestrudzony H. Gierszyński usiłował znaleźć dla B. Limanowskiego jakieś zatrudnienie w Paryżu, kontaktował się z jego żoną, planował dlań jakąś pracę biurową, na co Bolesław chętnie wyrażał zgodę. Dnia 6 marca 1894 r. B. Limanowski pisał do swego przyjaciela z Ouarville z Zurychu:

„Żona mi pisze, mając wiadomości od ob. (Edmunda) Kojalowicza, żeście uradzili wyznaczyć mnie stałe miesięczne wynagrodzenie, ażebym objął czynność piśmienniczą w Wydziale. Chętnie się na to zgadzam, zwłaszcza, że zostałem zawiadomiony przez lwowski Komitet Obywatelski i od (J.) Gałęzowskiego otrzymałem odpowiedź, że nie mam co rachować na posadę w Rapperswilu. (B.) Duleba gdy wyjeżdżał ze Lwowa za to zobowiązał mnie, ażebym wyłącznie się zajął pisanie historii porobizorowej, zapewniając, że będę otrzymywał po 60 guldenów na początku miesiąca. Zobowiązałem się ukończyć historię w ciągu dwóch, a co najwyżej trzech miesięcy. Istotnie pierwszego miesiąca wysłał pieniądze, ale w drugi miesiąc ani pieniędzy nie przysłał, ani na list nie odpowiedział. Postawił mi przeto w bardzo trudnym położeniu. Napisałem był drugi raz i dotąd nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wysłaniem już 9 rozdziałów, mam już dziesiąty napisany i pozostają jeszcze do napisania dwa rozdziały. Czy Komitetowi moja historia się nie podoba, czy w kasie zabrakło pieniędzy? W każdym razie wypadłoby odpowiedzieć.”

W tej sytuacji B. Limanowski wyrażał chęć podjęcia tej pracy, którą chciało u niego zamówić i pisał do H. Gierszyńskiego:

„Jeżeli Towarzystwo Litewskie nie oddało pisanu broszury komu innemu i trwa w swoim zamiarze, to może dałoby mnie 100 fr zaliczki. W takim razie popłaciłbym długi i wyruszyłbym nie zwlekając do Paryża. Historię porobizorową ukończę jesz-

Mimo pomocy, udzielonej przez przyjaciół, sytuacja materialna Limanowskich wciąż jeszcze była trudna. Pensja 40 fr miesięcznie, honorarium 200 fr wypłacone w dwóch ratach (pierwsza po przyjeździe do Paryża, druga dnia 6 września 1894 r.), honoraria za inne publikacje i odczyty, było to niewiele, znacznie mniej aniżeli było trzeba na to, by utrzymać rodzinę. Wszystkie dochody nie dawały możliwości „wiazania końca z końcem” i gdyby nie pomoc pieniężna, nadesłana przez brata Bolesława — Lucjana, „trzeba by przymierać z głodu, chociaż i tak ograniczaliśmy się bardzo w jadł” — pisał B. Limanowski w pamiętnikach.

Zamówiona przez B. Dulebę praca historyczna, dostarczona w całości do Lwowa i tam opublikowana drukiem jeszcze w 1894 r., nie przyniosła jej autorowi spodziewanego dochodu. B. Duleba „nie tylko nie przysłał należnego (...) honorarium”, ale przestał w ogóle odpowiadać na listy autora. W tej sytuacji skorzystał on z pomocy przebywającego w Paryżu Romana Dmowskiego, który obiecał interweniować we Lwowie. „Skończyło się wszystko na przesłaniu malej sumki pieniężnej”, podsumowywał B. Limanowski w pamiętnikach. Na domiar złego, nie był bynajmniej zadowolony ze sposobu, w jaki ogłoszono drukiem jego książkę. Przesyłając H. Gierszyńskiemu trzy egzemplarze nowo wydanego dzieła, pisał doń 20 września 1894 r. z Paryża:

„Nie miałem jeszcze czasu przeczytać książki, ale zdaje się, że prócz wstępu, który ogromnie skrótowo, pozbawiono myśli rewolucyjnej i uzupełniono własnymi frazesami, wydrukowano wszystko tak jak było bez zmiany. Wielką krzywdę wyrządzono książce przez bardzo niedbalą korektę, zwłaszcza ostatni rozdział wygląda tak, jakby wcale nie było korekty. Rzecz to do niedarowania tym bardziej, że kilka razy upominałem się o to, ażeby ostatnią korektę nie przysłano. W ogóle wydawcy bardzo niedelikatnie ze mną postępowali. Jeszcze w ostatniej chwili nalegali, ażebym przysłał im krótki opis działu terytorialnego dawnej Rzeczypospolitej z uwzględnieniem zmian dzwójnych i zmusiwszy mnie do pracy, która kilka dni zabrała, nie umieścił tego opisu.”

Tymczasem niespodzianie nadarzyła się okazja zdobycia posady, która zapewniłaby uczonemu-socjalście środki utrzymania dla siebie i rodziny. B. Limanowski wzbudził w pamiętnikach, że mieszkając już przy Boulevard St Marcel pod numerem 76 poznał u znajomych — państwa Zielińskich — Adolfa Warszawskiego z żoną. „On był semita, ona szlacheckiego pochodzenia, dosyć przystojna, lecz garbata”, zanotuje po la-

(Fragmenty książki pt. „Polskie troski i nadzieje. Z dzieł w myśli społecznej i politycznej XIX w.”, przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego).

„...posunąłem się prawie do kłamstwa. Wiedzę, że nie cierpię, nie znoszę kłamstwa, nie dlatego, abym był bardziej prawy od reszty ludzi, ale po prostu dlatego, że kłamstwo mnie przeraża. Ma na sobie skazę śmierci, wydziela zapach śmierci — tego właśnie, czego nienawidzę i nie cierpię — o czym chcę zapomnieć. Sprawia, że czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgnitego. Przypuszczam, że to kwestia usposobienia”, mówi Marlow w „Jądrze ciemności”. Ale świat dzisiejszy nie przypomina już świata Conrada i żaden ze współczesnych bohaterów powieściowych nie będzie próbował rezonować na temat kłamstwa w ten sposób.

Zaczynamy od początku, od miejsca w którym kurz nieco już opadł i kontury kłamstwa stały się wyraźniejsze. Może nie na tyle, żeby brać za nie całkowitą odpowiedzialność, ale wystarczająco by posiadało ono nie tylko kształt, lecz i swój aromat, barwę i co najważniejsze — wagę. Tak, tak, właśnie z tych wszystkich rzeczy waga jest najistotniejsza. Jednym daje, innym odbiera. Zatrąwia lub krzepi. Fachowiec potrafi cały ciężar skierować w inną stronę i tam, gdzie inny leżałby już bez ducha, on pasjonuje się wędkarskimi wyczynami. Ale do rzeczy. Od rzeczy.

Odkryłem w sobie kłamstwo. Tam gdzie inni unosili się porywem prawdy, z prawdą się obnoszą, prawdzie zawierają, tam ja obecny, ale z całkowitą jej przeciwieństwem, znaczę z kłamstwem. Moje powierzchowne obserwacje przetrwały się stopniowo w pewność. Urodziłem się jakby na przekór czasom, z kłamstwem od pierwszego słowa na ustach. Byłem tak dalece oswojony z własnym kłamstwem, że otaczający mnie ludzie, a już z pewnością przyjaciele, w jednej chwili odwróciliby głowy w przeciwną stronę, gdybym pewnego pięknego dnia zaczął im udawać, że dotychczas każde moje słowo miało się z prawdą i to miało się w sposób zasadniczy. Przerazenie

moim odkryciem było tym większe, że ludzie przyzwyczajeni powszechnie i głośno do mówienia prawdy, choć to ostatnie mniejsze już ma znaczenie, mogli nie być dostatecznie przygotowani na taki cios. Wyznanie takie mogło doprowadzić do frustracji przy-

chuję, zapytuję o zdrowie, kształt nowo kupionego kapelusza zachwalam. I tu zaczynało się moje kłamstwo. Wiem, czytelniku, że ty postąpiłbyś inaczej. Ale ja nijak nie mogłem, a i nawyk się powiększał. Im dalej, tym gorzej. Aż na usta sama ciśnię się

licznym gronie do tych łazanki zasiadaliśmy, a teraz tylko trzech się nas ostało.

Rozrzewniony tą odpowiedzia rozmówca opata sam z kolei wpełchnął potężną porcję klusek do ust, że zaś tak go oparzyły, że i w jego oczach pojawiły się łzy, zaraz też zrozumiał, że opat płakał z tego samego powodu. Opat widząc go płaczącego zapytał:

— Coż się stało i dlaczego takie strumienie łez leje, bracie?

Tenże odpowie:
— Z tego samego powodu, co i wyście płakali.

I podobnie jak opat z wielkim bólem przelknął gorące łazanki.

Wtedy trzeci mnich sięga po kluskę. Historia się powtarza i w jego oczach pojawiają się łzy. Opat z towarzyszem rozradowani dopytują się co się stało, na co ten odpowiada:

— Płacę, że tyle już lat ze sobą przestajemy, a jeszcze nigdy szczerze ze sobą pogadać nie możemy.

To wszystko nie odpowiadało jednak sytuacji, w jakiej ja się znalazłem. Ja ze swoim kłamstwem byłem całkowicie osamotniony. Wyalienowany. Nie miałem z kim dzielić mego wstydu, choć tak naprawdę w samotności dokucza on o wiele mniej, niż byśmy się spodziewali. Można nawet powiedzieć, że towarzyszyło mi jakieś uczucie wyższości nad tym, co gardzi kłamstwem, albo nad niewiniątkiem, które sobie nawet nie wyobraża, że ścisła łapę takiemu draniowi jak ja. Widzę już te litosiawe uśmiechy, proszę, otruł, oślepił, a jednak rozrzewnił swym łagodnym uśmiechem. No, ale w takiej sytuacji nigdy się nie znajdzie.

Przemyślałem o tym, czy w końcu nie powiedzieć prawdy, co też badał i nastąpiło, czy byłam o krok od tego, ale zdaje się, że wtedy zaczęły się moje prawdziwe nieszczęścia. Chciałbyście z pewnością posłuchać, jak to się stało. Otóż kiedy pierwszy raz powiedziałem prawdę... Nie, postanowi-

łem jednak nie narażać się na meki niższego rzędu. Ani słowa. Dlaczego mnie takim znoś. I straszne podejrzenie przeleciało przez głowę. Oni też... Nie, to było niemożliwe, żeby oni wszyscy.

Uświadomiłem sobie, że nie powstaje od razu. Trzeba będzie małymi dawkami przyzwyczajać ich. Tak trochę zimy, trochę lata, kłamstwo i odrobiny prawdy. I znowu powolutku, powolutku. Wszystko trzeba stopniować, jak pewna moja znajoma, która próbowała oszczędzać na własnych dzieciach, stopniowo przyzwyczajając je do coraz mniejszych porcji słoniny na chlebie, doprowadzając do tego, że w końcu dawała im po jednym plasterku na kromkę chleba, zaś dzieciak przesuwając plaster zębami w trakcie jedzenia, przy czym w nozdrzach rozchodził mu się smakołyki zapach słoniny. Kiedy słonina znalazła się już na samej krawędzi, zapobiegliwa matka zabierała plasterki, by skorzystać z nich następnego wieczora... Ale powróćmy zatem do mojego kłamstwa.

Powiedziałem, że wszystko w nim było przeciwne do zapatrzywań Marlowa. Mnie kłamstwo osmielało, było samą istotą życia, choć zazwyczaj nie zdawałem sobie z tego sprawy. Sprawiło, że czulem się jak artysta, aktor, który bierze w usta słowa bogobojnego kapelana, szlachetnego księcia z bajki, porwającego nas reformatora, po to aby w godzinę później podziwiać samego siebie, że gładki i tak po prostu. Myśliście pewnie, że miałem chwile wahania, rozterki. Tak, wyznam, że ogarniały i mnie chwile zwątpienia. Może potrzebny im byłem ze swoim kłamstwem. Może raz zaczynając kłamać nie ma już odwrotu, bo przecież akceptowali, bili brawo, ba, entuzjazmowali się. Przyznam się, że tego entuzjazmu do dziś jeszcze nie

bardzo rozumiem. Zupełnie jak z tym, co nadstawił jeden policzek, potem drugi, a tutaj chciałby, żeby go jeszcze zainteresowanie sprano po pysku. No więc, byłem bez wyjścia i każda metoda była dobra.

Wstąpił we mnie duch racjonalizatorski. Ulepszyć i skrócić. Ulepszyć to znaczy zmniejszyć obszar swego działania. Zamknąłem drzwi na klucz. Ostatecznie mogło się rozegrać z równym powodzeniem w tym miejscu, jak w każdym innym. Biurko, krzesło, tapczan, niczego nie brakowało. Teraz należało za wszelką cenę skrócić. Ale co i o ile, tego jeszcze nie bardzo się domyślałem. Najlepiej chyba było rozpocząć od czasu. Skrócić czas. Im szybciej, tym lepiej. Im dłużej, tym niebezpieczniej. Nie mówiąc o zdrowiu. Młodość, wiek dojrzały, poważny. Tak, w takim tempie nie mogłem dłużej już czekać. Należało wytoczyć sobie proces. Byłem w nim oskarżonym, oskarżyłem, w końcu sędzią, ławnikiem, strażnikiem, katem i więźniem.

Wszystko to mogło z powodzeniem skończyć się na szubienicy, gdyby na ratunek nie przyszli otaczający mnie ludzie. Przeniesiono mnie więc ostatnio do jasnego, widnego pomieszczenia, w którym okazało się, że przebywa także dwóch cierpiących z tego samego powodu obywateli. Opracowaliśmy ostatnio program kosmiczny dostania się na Marsa i muszę uczciwie przyznać, że nasza inicjatywa spotkała się z niezwykle przychylnym stanowiskiem naszych opiekunów. Tak to cała trójka prowadzi codziennie treningi przygotowujące do realizacji tego przedsięwzięcia. Czekamy tylko na moment, kiedy niebo nieco się rozpołodzi i rakietą będzie mogła wystartować. Zgadzam się też, że osioł wydaje się koniem przetłumaczonego na holenderski.

HENRYK SKWARCZYŃSKI

KŁAMSTWO

NAJNIEZBĘDNIWSZE kłamstwa to prawdy nieco zmieszane. Lichtenberg

zwyczajonych od lat do mówienia prawdy, wpłynąć na ich dotychczasowo urabiane systemy wartości, słowem o krok od chaosu i nieobliczalnych skutków.

Wyobraźmy sobie taką przykładową rozmowę. Idziemy ulicą, pachną kwiaty, drzewa się zielenią, a tu z przeciwka idzie nasz sąsiad, o którym radio podało, że osobiście tu czy tam, wtedy a wtedy położył trupem dwie osoby, pokaleczył zaś tuzin, otr skoniłony i tyle. Ale przecież znamy się tyle lat, dobry sąsiad, szanowny ojciec dzieciom, jakże to postąpić inaczej. Rękę wyciągam, wiadomości nastu-

ślawetna historyjka o rozmowie trzech mnichów pewnego klasztoru, którym podano na obiad gorące łazanki. Pierwszy sparzył się opat, lecz ponieważ wstydił się wypłuć je z powrotem, że łzami w oczach próbował jakoś z bólu wytrzymać. Drugi widząc go w takim stanie, ponieważ wody pod ręką brakowało, chlupnął mu w twarz białym winem, jakie miał w kielichu, dopytując, coż takiego się stało. Opat przelknął już łazanki i zły wewnątrz, iż oblando go winem, odrzekł:

— Widzicie, synu, wielka żalność ogarnęła me serce, kiedy pomyślałem, że dawniej w

tego nie bronila, patrzyła jednak na mnie spod zmrużonych powiek jakoś inaczej niż zwykle, tak trzeźwo, bystro, jak człowiek, któremu serce stwardniało, a ja gniotłem bez przerwy jej palce, oknającem się dopiero wtedy, gdy oderwała je od moich gorących ust i nie zwając na mnie, mówiła co do Boga, który oparł łeb o jej kolano, gawędziła z psem. Korzystając z jej nieuwagi wpatrywałem się nienasyconie w moją nową

gazowym palnikiem, schowanym przeźornie we wnęce, nie mogłem nie zauważyć na ziemi kilku herbacianych okruchów. Jeszcze były, że dwa, trzy, może osiem, czekały na moją myśl o nich, ruch, gest pochylenie się, ujęcie w dwa palce i wrzucenie do kosza. Byłoby mi za to wdzięczne, wiedziałem o tym i obserwując Renię odwróconą do mnie plecami, spełniłem ich życzenie bardzo szybko, szybciej niż przypuszczałem, podnio-

zu są zamknięte... Zmienicie się, zmienicie — powtarzała z uporem, z jakąś rozpaczą w głosie.
— Kurki od gazu... — skierowałem bezwładnie oczy w stronę wnętrza, w stronę kurków, oba zamknąłem, ale ogólny przewód gazowy pozostawiał otwartym, nie mogłem się od niego oderwać, ciągle był otwarty, prostopadły do ziemi.
— A widzisz, czy nie mam racji? — powiedziała — teraz twoja uwaga jest zaprzęgnięta gazem, a widzisz? A tam na podłodze leży jeszcze jeden śmieć.
— Gdzie?
— Pod oknem.
Rzeczywiście pod oknem na blyszczącej podłodze, którą całe wieczorajsze popołudnie tarłem kawalkiem starego koca, leżał paperek wielkości znaczka pocztowego, a może była to po prostu kulka z papieru, on sobie leżał, a ja usłyszałem dzwoneczki odrobiny ostrzejsze, jakieś mniej sympatyczne.
— No a co będzie teraz?
— To! — powiedziałem. Podszedłem do maszyny gazowej, zakręciłem kurek, teraz był równoległy do ziemi.
— Podnieś jeszcze ten śmieć z podłogi — rzekła bezbarwnie — do d a t k o w o — zaakcentowała — Zie by ci było, gdybyś tego nie uczynił — dodała po chwili, a jej wzrok wyrażał mocne postanowienie czegoś, czego jeszcze nie rozumiałem, więc na wszelki wypadek klęknąłem przed nią na kolana, jakbym zamierzał zabrać się do froterki i kątem oka zerkając na śmieć pod oknem objąłem ją za nogi staroruskim zwyczajem, tak bowiem za czasów pańszczyżnianych chłopcy rosyjscy oddawali hold swym panom.
— Nie kochasz mnie — powiedziała — wstań wreszcie.
— Dlaczego?
— Nie kochasz mnie — powtórzyła. Nie usłuchałem jej i nie wstałem. Głaskała mnie po głowie tą samą ręką, którą przedtem głaskała Boga, czulem ten dotyk i drżałem z obawy, żeby go nie utracić, jednocześnie jednak widziałem za oknem sąsiednie domy, onegdaj w naszym mieście oddano do użytku 200 mieszkań, pomarańczowo-białe bloki, a ja leżałem u jej stóp i bliagałem, żeby była taka jak dawniej, gdy wynajmowałem pokój u obcych ludzi.
— Rany boskie! — wołałem — rany boskie! — nie miałem już innego argumentu.
— Podnieś ten śmieć, dlaczego go nie podnosisz? — zaczęła tupać i

krzyżeć — bądź logiczny i konsekwentny, podniesiesz i ułóżysz sobie — ale ja nie mogłem uciec od jej rąk, ciała chłodnego i sztywniejącego, a za tymi blokami, które były czymś imponującym i radosnym, ciągnęły się dalsze bloki, całe miasto pomarańczowo-białych domów. Wiedząc o tym i ciesząc się z tego mimo wszystkich jeszcze tuliłem się do jej buta, czulem śliśkość pończoch, widziałem dopiero co ustawione kosze, ławki i piaskownice dla dzieci, trwałymi czas jakiś w uścisku, znowu mnie głaskała, widziałem już światła w oknach, bo ściemniało się, a Renia nie chciała czy nie mogła zrozumieć, że czekałem sześć lat, dwa miesiące i trzy dni, nie chciała zrozumieć i z kamienną twarzą, zadufana w sobie, swych ryśach, piersiach, udach, kolanach i dajmy na to jeszcze kłóciach i dziarskich odrażała mnie, oddepchnęła, ubrała się w płaszcz, sięgnęła po kłamkę wyściszoną przeze mnie glaspapierem.
— Zostań — szepnąłem po raz ostatni.
Gdy otwierała drzwi, wionęło do środka ostre powietrze i zapachniało grobami, wiatr szarpał dopiero co posadzone chude drzewko, te konie rzały, a Renia poszła w labirynt uliczek nowego miasta. Wycierając tęczę, wydstałem ze schowka pukiel jej włosów przewiązany wstążeczką, jej listy, wpatrywałem się chwilę w te pamiątki, ale przecież to, co mnie otaczało, było silniejsze, podchodziłem więc do ścian dotykając palcami nierówność jeszcze wilgotnych, grudkę zaprawy murarskiej osiadłej na murze, sprawdzałem, czy to nie sen — mury były twarde, niezniszczalne, kłękłem w nie pięściami, nie ustępowały, potem otwierałem i zamykałem kurki od wanny, pukałem w szybę okienną, wreszcie zobażyłem podłogę turkusową i blyszcząca, na której leżał spokojnie ten ostatni śmieć. Czekaj, aż zrobię z nim porządek. Mruczaj, schyliłem się i wzięwszy go w dwa palce, wrzuciłem do kosza, a potem w rytmie jakiegoś dziwnego tańca zacząłem skakać raz na prawe nożce, raz na lewej przetaczałem się od ściany do ściany, od drzwi do ołna. Bob szczał i ja krzyczałem, a wokół nas, za murami rozbity już wszędzie światła.

Opowiadanie z tomu „Podrygi albo zamęt w głowie”, który ukaze się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

CZESŁAW MICHNIK

MOJA PODŁOGA

podłogę, 15 metrów kwadratowych gładkiej tafli, tym bardziej się wpatrywałem, że przez sześć lat, dwa miesiące i trzy dni gnieździłem się w zapłuskwionym pokoju u ludzi obcych i zmuszony byłem do chodzenia po cudzej podłodze, którą zienawidziłem i na złość im po kryjomu brudziłem, pluąc na nią, w dzień jednak udawałem lojalnego, gdyż buty zdejmowałem w korytarzyku, a po pokoju laziłem w nocnych pantoflach. A teraz własna, nowa podłoga mogłem pielęgnować jak chciałem i kiedy chciałem, mogłem dobrą odpowiedź kolor pasty i całą kolekcję ściereczek i szczotek, którymi froterowałem jej gładziźnie, żeby była jeszcze bardziej błyszcząca, jeszcze bardziej turkusowa.

Rozmyślania nad moim szczęściem przerywały znajome dzwoneczki, ciągle coś mówiła do psa, który lizał jej ręce i lasił się do niej.
— Uszykuje kawę — powiedziałem, żeby ją udobruchać, ale gdy wszedłem do przedpokoju i zmierzalem ku

sieniem je i wrzuciłem do muszli, i spuściłem wodę. Poszły rana w labirynt urządzeń kanalizacyjnych, a ona głaskała Boga i powiedziała do mnie:
— No dobrze, już dobrze, ale śmieć musiałeś podnieść, czy nie mógłś sobie spokojnie poleżeć?
— Mógł — rzekłem, obejmując ją w pasie. Przywarłem ustami do jej policzka. Na ulicy zarząły dwa konie dorożkarskie, ściemniało się.
— No właśnie, mógł, ale ty po podnosieś — ciągnęła niewzruszona, ujęła Boga za mordę i wykrcąjąc ku sobie, spojrzała na nią, ubawiona, ciągle jeszcze ubawiona.
— Ależ Reniu — powiedziałem drżąc, traciłem pomalą nadzieję. Te konie rzały.

— Wtedy byłeś inny — rzekła ze smutkiem.
— Kiedy „wtedy”?
— Gdy mieszkałeś u obcych ludzi — ciągnęła — jutro powiesz: „od dziś przestaje podnosić śmiecie”, ale wymyślisz coś innego, na przykład będziesz sprawdzał, czy kurki od ga-

14 sierpnia 1969 roku na ulicach północnoirlandzkich miast, w sytuacji podskórnie narastającej wojny domowej, pojawili się brytyjscy żołnierze. Z początku potraktowano ich jako pośredników, których zadaniem było rozdzielenie głównych sił wciągniętych w tryb konfliktu. Ale już niebawem ujrano ich we właściwym świetle, jako agentów kraju, który przez długie stulecia panował w Irlandii i podzielił ją na dwie części. Takie właśnie wyobrażenie o armiach brytyjskich zachowało się w Północnej Irlandii do dnia dzisiejszego. Przyszłość tego kraju jest długim łańcuchem ucisku i zniewag, dokonywanych przez armie brytyjskie. Narzucony Irlandczykom w 1921 roku podział kra-

cywilnych katolików, chociaż niektóre sprawy sądy oddaliły z powodu braku dowodów wiary. Liczba więźniów w Ulsterze sięga ponad dwóch tysięcy osób. Ludzie skazywani przez sądy specjalne, w wielu wypadkach na podstawie co najmniej wątpliwych poszlak i wtrąceni do więzień, których już sam zewnętrzny wygląd przywołał na myśl obozy koncentracyjne, żądają — i mają ku temu prawo — żeby traktowano ich według statusu więźniów politycznych, czego im się stale odmawia. Ich prawdziwym przewinieniem jest udział w walce o prawo do rozporządzania własnym losem i o wycofanie obcych wojsk z ich kraju.

Nawet organ wpływowego kół angielskiego biznesu, „The Economist”, zwraca uwagę, że brytyjskie siły zbrojne w Ulsterze wykonują zadania bojowe. Ulice miast są nieustannie patrolowane a marynarka wojenna utrzymuje w pogotowiu u brzegów północnoirlandzkich eskadry okrętów. Pododdziały piechoty morskiej używa się do operacji wojskowych w mieście, a ponadto pełnią one służbę patrolową na niektórych jeziorach, żeby utrudnić kontrabandę bronią. Brytyjskie lotnictwo wojskowe chroni lotnisko Oldergrov i zabezpiecza nieustanny transport wojska i

problemu północnoirlandzkiego zwraca uwagę fakt, iż premier rządu Wielkiej Brytanii, M. Thatcher, podczas osmiogodzinnej wizyty w grzmiącym wystrzale Ulsterze dała jasno do zrozumienia, że „swoje zadanie widzi w zwiększeniu bezpieczeństwa w drodze zaostrożenia środków policyjnych, a nie w poszukiwaniu inicjatyw pokojowych”. We wrześniu tego roku północnoirlandzki kryzys był jednym z najważniejszych tematów, roztrząsanych na posiedzeniach gabinetu M. Thatcher. W celu zaostrożenia policyjnych środków bezpieczeństwa rząd podjął decyzję o zwiększeniu liczby policji w Ulsterze o dalszych tysiącach osób. Ten zmilitaryzowany korpus, składający się głównie z protestantów, liczy obecnie sześć tysięcy policjantów.

Zwolennicy zaostrożenia represji domagają się także od M. Thatcher nowych inicjatyw, które by zmusiły premiera Republiki Irlandii do rozszerzenia lokalnych operacji wojskowych przeciwko „tymczasowej” IRA. „Należy

Nieoczekiwane „wykrycie” 2—3 tysięcy radzieckich żołnierzy na Kubie jest wyraźną farsą. Jakże zagrożenie dla Ameryki może stanowić taka „armia”, oczywiście, jeśli tylko — a taka możliwość zawsze istnieje — nie zastrajają pracownicy urzędu celnego na Miami? W 1962 roku udało się nam porozumieć w sprawie zadowalającego rozwiązania kryzysu (kubańskiego — red.) dzięki temu, że władze wykonawcze i Kongres wykazały więcej poczucia odpowiedzialności. Teraz zaczęło się wszystko, kiedy przewodniczący komisji do spraw zagranicznych uznał za konieczne wykazać wyborcom w Idaho swoją twarzą i zwrócił się całemu światu nie tylko z tego, że na Kubie przebywają radzieckie oddziały wojskowe, lecz także z tego, że jeśli nie zostaną stamtąd wycofane, Senat nie ratyfikuje Porozumienia SALT II. Pod wpływem tego wystąpienia senatorzy na wysięgi zaczęli składać oświadczenia, przy czym wiedzie w tym prym senator Henry Jackson.

Na nieszcześnie taką kakofonię głosów oburzonych przedstawicieli Kongresu, grzmoty i błyskawice można ocenić tylko jako ultimatum: albo Rosjanie wyprowadzą swoje wojska z Kubie, albo Stany Zjednoczone zrobią im coś nieprzyjemnego. Wszystko to odbywa się dosłownie wbrew wszelkim prawdom dyplomatycznej taktyki. I w konsekwencji problem, mający czysto symboliczny charakter, przekształcił się w poważne zagadnienie. Potwierdziło to podejrzenia naszych przyjaciół w innych krajach, że zagraniczną politykę USA charakteryzuje chorobliwa nadwrażliwość i dlatego jest ona wątpliwa.

No i co teraz? Oczywiście Senat mógłby odmówić ratyfikowania porozumienia SALT II, a my mogliśmy nawet blokować handel ze Związkiem Radzieckim. A jeśli Moskwa będzie nadal z uporem trzymała swoje wojska na Kubie, co wtedy? Kto będzie czołowego zdenerowania z powodu tak drugorzędного problemu? Nie jest nawet jasne, czego chcemy od Rosjan. Wszak to nie nowy problem. Tylko po prostu niedawno go odkryto. Dość znaczny

kontyngent wojsk radzieckich na pewno znajduje się na Kubie już od wielu lat. Tak więc problem polega w istocie nie na tym, że znajdują się tam wojska radzieckie, lecz na tym, że są uformowane w „szukaj bojowym” — co jest stwierdzeniem bardziej metafizycznym niż realnym, ponieważ nikt nie wie z kim one mają walczyć. Więc cóż powinni zrobić radzieccy żołnierze? Zmienić umundurowanie? Przesłać zysk brygady? Przyjąć obywatelstwo kubańskie? Wszystko to przypomina nasze dawne dywagacje kiedyś to traciły nie kończące się godziny na rozważaniach, czy ta lub inna broń jest „ofensywna” czy „defensywna”.

Z PRASY

ZMYŚLONA WRZAWA WOKÓŁ KUBY

Podstawowa słabość naszej pozycji polega na tym, że obecnie w Turcji umotywowaliśmy obecność amerykańskiego kontyngentu wojskowego w liczbie kilku tysięcy ludzi i niewielkiego kontyngentu w Norwegii. A jeszcze nie tak dawno tysiące amerykańskich wojskowych znajdowało się w Iranie! W dodatku wszystkie te kraje leżą nie o 90 mil od granicy radzieckiej a graniczą z ZSRR. Poza tym 2 tysiące naszych żołnierzy przebywa na Kubie w bazie Guantanamo. Rosjanie na pewno by poszli na wycofanie swoich wojsk z Kubie, jeśli my byśmy się zgodzili wycofać nasze wojska z krajów NATO. Ale czyż ktośkolwiek z nas uważa, że byłoby to korzystny układ?...

„Washington Post” — Waszynton

ULSTER

POLIGON BRYTYJSKICH ARMII

ju pozostawił pod bezpośrednią kontrolą władz brytyjskich przytłaczając większość rejonów rozwiniętych przemysłowo.

Podział stworzył Irlandię Północną ze statusem wewnętrznej prowincji Zjednoczonego Królestwa. Protestanti, którzy stanowią dwie trzecie jej ludności, żądali utrzymania unii z Anglią i jest to do dziś żelaznym argumentem wysuwany przez Wielką Brytanię jako uzasadnienie jej obecności w Północnej Irlandii. Ale protestanci większość, z historycznego punktu widzenia, jest bardzo względna ponieważ wynika ona wskutek podziału kraju, dokonanego pod naciskiem antydemokratycznej i politycznej tradycji kolonializmu. Wytoczona w 1921 roku granica nie odpowiada realiom i jest wynikiem polityki wycięcia z Republiki Irlandzkiej kawałka terytorium o wystarczającej powierzchni, żeby mogło na nim egzystować ekonomicznie i politycznie zabezpieczone społeczeństwo, w którym protestanci mieliby absolutną większość. Żeby tej większości zapewnić konsolidację prowadzono przemysłową politykę dyskryminacji ludności katolickiej.

Dzisiaj wiele z największych partii politycznych, jak również działaczy tej miary, co premier Republiki Irlandii czy prymas kościoła katolickiego Irlandii, występują z żądaniem zjednoczenia kraju. Fakt, że większość protestantów (ale nie wszyscy) głosowałaby przeciwko temu nie jest ważnym argumentem politycznym żeby nie stworzyć takiego państwa, ponieważ protestanci ani z kulturalnego punktu widzenia, ani w planie geograficznym nie są innym narodem. Jedynością poglądów politycznych żądają wycofania wojsk brytyjskich świadczy, iż nie oczekują oni od tych żołnierzy obrony na wypadek, gdyby protestanci urządzili pogrom. Mało tego, jednym z najbardziej niepokojących aspektów obecnego konfliktu jest zachowanie się tych sił bezpieczeństwa, w większości skoncentrowanych w katolickim getcie.

Nie sposób już wyliczyć wszystkich dowodów kawatania i tortur, jak informuje „Le Monde”, jakie mnożą się w obrębie działalności tych sił bezpieczeństwa. Dowody te, uzupełnione wieloma poszlakami, odnotowano w Europejskim Sądzie Praw Człowieka w Strasburgu. Ponurą rolę odgrywają także angielscy żołnierze w licznych zabójstwach

techniki wojskowej. Północna Irlandia jest dzisiaj dla brytyjskich sił zbrojnych czymś w rodzaju poligonu wojskowego. Oddziały wojskowe zmieniające się w Ulsterze przybywają tutaj z RFN, gdzie wchodziły w skład sił NATO.

W obronie ludności wyznania katolickiego stanęła Irlandzka Republikańska Armia (organizacja stworzona w 1919 roku i walcząca o zjednoczenie Irlandii — red.). W miejskich gettach, w których mieszkali katolicy, odparła z bronią w ręku napady protestanckich prawniczo — ekstremistycznych grup terrorystycznych oraz wojsk brytyjskich, przysyłanych tutaj w celu „uśmierzenia” buntów.

Tymczasem w łonie IRA zarysowały się głębokie rozdzielenia polityczne. Większość żądała prowadzenia walki o uzyskanie praw obywatelskich dla katolików drogą działań politycznych, podczas gdy mniejszość obstawała za działaniami wyłącznie bojowymi. Konflikt ten doprowadził do rozbitcia IRA i stworzenia dwóch grupowań: „oficjalnego” i „tymczasowego”. „Tymczasowa” IRA składa się głównie z młodzieży, której wojna domowa i kryzys ekonomiczny usunęły grunt spod nóg. Ideologiczną platformą kierownictwa „tymczasowej” IRA jest drobnomieszczański anarchizm. Finansową pomoc i współdziałanie w zaopatrywaniu w broń okazują tej organizacji niektórzy amerykańscy działacze irlandzkiego pochodzenia, którzy reprezentują wielką burżuazję, a także analogiczne kół w Republice Irlandii. „Tymczasowa” IRA usprawniła swoje akcje terrorystyczne obecnością w Północnej Irlandii 13 i pół tysiąca żołnierzy brytyjskich, którzy wtrącają ludzi do więzień bez sądu i wyroku, poddają ich torturom i głosi iż celem tych akcji zbrojnych jest zmuszenie wojsk brytyjskich do wycofania się z Północnej Irlandii oraz połączenie Ulsteru z Republiką Irlandii.

Komunistyczna Partia Irlandii i organizacje bojowników o prawa obywatelskie niejednokrotnie podkreślały, że terror preferowany przez „tymczasową” IRA jest na rękę i prawniczym ekstremistom protestanckim, i Londynowi, stwarzając powód do eskalacji przemocy. Dlatego też nawołują one do niezwłocznego zaprzestania wszelkich aktów terronu i zespolenia wysiłków w celu politycznego rozwiązania problemu Północnej Irlandii.

Na tle tego nabrzmiałego

przed wszystkim zaostriżyć środki policyjne. I żadnego tak zwanego podziału władzy (z katolikami — red.)” — powiedział James Molino, jeden z liderów Partii Unionistów w Ulsterze, która ma największe wpływy wśród protestantów. Polityczni komentatorzy niektórych londyńskich gazet wskazują na konieczność znalezienia politycznego rozwiązania problemu północnoirlandzkiego i wyrażają ubolewanie, że dotąd rząd M. Thatcher nie zajął się poważnie tym skandalicznym problemem.

Nie ulega wątpliwości, że winę za akty terroru w Północnej Irlandii ponosi przede wszystkim Wielka Brytania, która anektowała Irlandię w XVII wieku, traktując ją jako swoją kolonię. Godząc się w 1921 roku na polityczną niezależność południowej części wyspy, Londyn zachował panowanie nad przemysłowo rozwiniętymi północnymi hrabstwami Irlandii, motywując to „przywiązaniem” większości mieszkańców tego rejonu do protestanckiej Anglii. Wszakże nie rozczulając się nad tym „przywiązaniem”, liczne rządy brytyjskie zdegradowały Ulster do roli własnej prowincji, w której jest dziś najwyższy w kraju poziom bezrobocia (13 proc. — red.), najniższe płace i robotnicze dzelnice w stanie kompletnej ruiny. Na tym gruncie socjalnym i politycznym, w końcu lat sześćdziesiątych wybuchły krwawe walki między katolikami a protestantami. W politycznych zamierzeniach rządu brytyjskiego wobec Ulsteru na coraz dalszy plan odsuwa się warianty zjednoczenia Irlandii, nawet w jakiejś bardzo dalekiej przyszłości. Tymczasem problem Północnej Irlandii coraz bardziej podrywa międzynarodowy autorytet Anglii. I nie dziwnego: w jednej z prowincji Zjednoczonego Królestwa gwałci się prawa obywatelskie i trwa stan wyjątkowy, którego końca nie widać.

JERZY CZECH

Z udziałem najwyższych delegacji zaprzyjaźnionych krajów Niemiecka Republika Demokratyczna świętowała 30-lecie swego powstania. Proklamowanie pierwszego w dziejach demokratycznego państwa niemieckiego było jednym z największych wydarzeń doby współczesnej, którego rozmiarów sprowadza się nie tylko do czasu już minionego, ale będą odzwierciedlać także i przyszłość. Bardziej równoważony układ sił politycznych na naszym kontynencie, jego pokojowa stabilizacja, przesunięcie na

KRONIKA TYGODNIA

zachód granicy między światem socjalistycznym a kapitalistycznym — wszystko to są następstwa powstania NRD. Dla Polski ten historyczny fakt sprzed 30 lat oznaczał jednocześnie pokojowe i braterskie sąsiedztwo także po zachodniej stronie. Zaledwie w kilka miesięcy po zorganizowaniu się demokratycznego państwa niemieckiego — 6 lipca 1990 r. podpisany został słynny Układ Zgorzelecki, potwierdzający przez NRD granicę między naszymi państwami na Odrze i Nysie.

Przez długie lata istnienie NRD nie było zauważane przez państwa zachodnie. Uprawiali one politykę zaprzeczającą jakoby było to tylko jedno państwo niemieckie — NRF. Oczywiście taka nieralistyczna polityka, przynajmniej odczytano w europejskie fakty musiała się zmieniać. Dziś NRD jest nie tylko powszechnie uznanym państwem, członkiem ONZ, ale, co więcej, odgrywa we współczesnym świecie ważną rolę, jest wraz z innymi krajami socjalistycznej wspólnoty czynnikami pokoju i współpracy międzynarodowej. Wiadomo, że 30 lat temu, prowadząca od izolacji do aktywnego udziału w polityce światowej, jest najlepszą miarą dokonania NRD.

Po tej jubileuszowej refleksji —

Zainteresowanie obrzędowością świąteczną w naszym kraju zaczęło się rozwijać dopiero od kilku lat. Wynikiem jest wzrost publikacji, podejmowanie ciekawych inicjatyw i, co najważniejsze, dające się już odczuć zainteresowanie społeczeństwa i sympatia dla nowych do niedawna form świątecznej obrzędowości. Radzieckie doświadczenia w tej mierze mają już kilkadziesiąt lat i ciekawą literaturę podejmującą ten temat. Ilość prac o

U PRZYJACIOŁ

OBRĘDOWOŚĆ SOCJALISTYCZNA W ZSRR

sojalistycznej obrzędowości zwiększa się z każdym rokiem. Jest to wynikiem głównie zainteresowania tą problematyką ośrodków agitacyjno-propagandowych, a także zwiększającą się aktywnością kręgów naukowych. Rosną więc ilości prac dyplomatycznych, kandydańskich, wydawniczych popularnonaukowych. Również też społeczne zapotrzebowanie na tego rodzaju problematykę. To właśnie było przyczyną stworzenia ośrodków badawczych nie tylko w Moskwie i Leningradzie, ale także w znacznie mniejszych ośrodkach naukowych w Alma-Acie, Kijowie, Perno, Woroneżu.

W ostatnim okresie czytelnicy radzieccy mogli zapoznać się z

przejdźmy do niektórych innych wydarzeń tygodnia.

W ONZ toczy się nadal debata generalna. Minęła ona właśnie półnietka, gdyż zabrano już głos ponad 70 mówców — szefów delegacji. Jak wiadomo, w Zgromadzeniu Ogólnym NZ wystąpił również panień Jan Paweł II, poświęcając swe przemówienie potrzebie zapewnienia trwałego pokoju i międzynarodowej współpracy.

W połowie minionego tygodnia powzięto decyzję, że wybory następnym członków Rady Bezpieczeństwa oraz wybory do Rady

Gospodarczo-Społecznej odbędą się 28 października. W nawiązaniu do tego, o czym pisaliśmy powyżej, podkreślaliśmy, że po raz pierwszy do Rady Bezpieczeństwa kandyduje NRD.

Zgromadzenie Ogólne postanowiło ponadto, że radziecka propozycja omówienia na XXXIV sesji tematu: „O niedopuszczalności polityki hegemonizmu w stosunkach międzynarodowych” zostanie przedyskutowana w komitecie ds polityki i bezpieczeństwa. Sens tej propozycji sprawozda się do usunięcia z praktyki międzynarodowej jakiegokolwiek przejawu dominacji jednego państwa nad innymi. Hegemonizm prowadzi bowiem do nadeń, rodzi ówsmka konfliktu, komplikuje stosunki międzynarodowe, w sumie więc mierzy w pokój.

W tym czasie, kiedy w Nowym Jorku trwa sesja Zgromadzenia Ogólnego, w Wiedniu toczą się rokowania 19 państw na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej. Pod koniec minionego tygodnia odbyło się 213 posiedzenie plenarne. Niestety i ono — na oczekiwany już od sześciu lat — nie zaszkalizowało realistycznego podejścia uczestników zachodnich

wieloma pracami poświęconymi socjalistycznej obrzędowości.

Wśród nich należy wymienić: Ugrinowicza D. M. „Obrzędy. Za i przeciw”, Suchanowa I. W. „Obyczaje, tradycje i dziedzictwo pokoleń”, a ostatnio interesującą pracą W. A. Rudniewa „Radzieckie święta, obrzędy i rytuały”, opublikowaną w br. w Leningradzie.

W swej pracy W. A. Rudniew analizuje problem obrzędowości głównie w oparciu o doświadczenia ośrodka leningradzkiego.

Autor, kandydat nauk historycznych jest docentem Leningradzkiej Wyższej Szkoły Związków Zawodowych, od lat zajmuje się problematyką obrzędowości socjalistycznej. Wynikami tych zainteresowań są broszury i artykuły oraz pozycja książkowa „Radzieckie obyczaje i rytuały”, wydana w 1974 r. Rudniew posiada duże doświadczenia praktyczne, bowiem jest członkiem leningradzkiej Komisji zajmującej się opracowaniem nowych socjalistycznych obrzędów i rytuałów. Jego najnowsza praca stanowi dalszy ciąg zainteresowań autora tą problematyką. W najnowszej książce Rudniew omawia szeroki krąg ra-

do tego ważnego przecież problemu. W rozumieniu państw NATO redukcja powinna być tak przeprowadzona, aby była wyważona w skłonie państw socjalistycznych. (Domagają się oni 3,3-krotno większego zmniejszenia wojsk przez socjalistyczne państwo w stosunku do redukcji przez nich oferowanych). Musi być to — rzecz jasna — zachowanie równowagi militarnej na korzyść naszej strony. Obstawianie przy swoim powoduje brak postępu w rokowaniach i opóźnianie finałnych porozumień, co przez sięby militarnie na Zachodzie wykorzystywane jest do utrzymania wysięgu zbrojeń.

O aktywności w Stanach Zjednoczonych przed chwilą wymienionych sił świadczy wrzawa, jaka wywołany wokół obecności na Kubie radzieckiego personelu wojskowego. Od dawna przebywają tam szkoleniowcy radzieccy, teraz jednak sprawie w USA przedstawioną tak, jak gdyby na Kubie pojawiły się liczne oddziały bojowe „zagrożające bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych”. Ani wiceprezydent Mondale ani prezydent Carter (wymieniani wiodącymi chronologią publicznych oświadczeń) nie podzieliłi opinii tych kół, że powstała nowa sytuacja i stwierdził z naciskiem, iż nie dopatrzył się powodu do powrotu do „zimnej wojny”. Fakt, iż Carter równocześnie podkreślił konieczność ratyfikowania układu SALT II jest jakby udzieleniem celu, który postawili sobie organizatorzy wrzawy: stworzyć atmosferę zagrożenia, bo wówczas łatwiej będzie głosować przeciwko układowi.

Jeśli tylko sięgamy pamięcią, zawsze w momentach decyzji — trudniących wysięg zbrojeń — jego rzecznicy wysuwali argument radzieckiego straszaaka”. Tym razem uznali, że może nie być obojętne na Kubie wojskowno personelu szkoleniowego ZSRR. Cel zbyt przelotny, aby preteli, którym się posłużono, mógł być traktowany poważnie... W. SŁAWSKI

dzieckich obrzędów, przyjmując podział na obrzędy społeczno-polityczne, tradycje wojskowe, zawodowe, rodzinne i inne święta kalendaryzowe. Autor wykrył siebie w swej pracy szeroki materiał porównawczy, odwołuje się do znacznej ilości przykładów ceremonii i obrzędów. Popiera to materiałem dokumentalnym i ilustracyjnym. W pracy wykorzystywana jest bogata literatura marksistowsko-leninowska.

Przeglądając książkę Rudniewa dostrzec można wiele zbędnych elementów uroczystości radzieckich i polskich. Głównie dotyczy to obrzędowości obywatelskiej, tradycji partyjnych i robotniczych, zawodowych, a w pewnym stopniu nawet rodzinnej. Bowiem ceremonia ślubna, przysięga wojskowa, czy Święto Pracy zasadniczo nie różnią się od siebie w naszym kraju i ZSRR. Różnice występują ze względu na istniejące tradycje np.: inaczej wyglądała uroczystość radzieckich pionierów, a inaczej polskich harcerzy. Również tradycje lokalne czy regionalne wpływają niejednokrotnie na powstanie nowych form obrzędów. Na przykład, w Leningradzie szczególnie popularny jest festiwal artystyczny „Białe noce”. Leningradzcy maturzyści ostatni swój wieczór spędzają nad Nową na Świecie „Szarłatnych żagli”.

Wydać się, że praca Rudniewa powinna zainteresować polskiego czytelnika różnorodnością przedstawianych form obrzędów, a także sposobem ich organizacji. Z powodzeniem może służyć jako materiał porównawczy dla naszych propagatorów socjalistycznych tradycji.

ALICJA KOŚCIELSKA

Słyszysz się nieraz narzekania na miłośność i plotkarstwo naszych dyskusji literackich...

ra. Adam Bar — krakowski historyk literatury i bibliograf — zmarł prawie ćwierć wieku temu...

KUMOSZKI NA PARNASIE

Kraśińskich i Zamojskich... Wszystkie te rękopisy i listy już nie istnieją — zostały spalone w czasie Powstania Warszawskiego...

„Kumoszki na Parnasie” warte są przypomnienia, nie tylko jako dokument, ale przede wszystkim jako przesłanie dla współczesności.

„Spory klasyków z romantykami” — to zwrot ze szkolnych podręczników, ale co się za tym zwrotem kryje, jaka była codzienność i temperatura owych sporów?

Jakie analogie snuć można przy lekturze „Kumoszek na Parnasie”, gdy czytamy o Ludwiku Osieńskim...

Widok... Adam i Ewa; To z prawa, to z lewa.

Z GALERKI HENRYK PŁÓCIENNIK



Adam i Ewa; To z prawa, to z lewa.

Rys. Stanisław Józef Grakowski. Tekst: Mieczysław Michał Szargan.

PROPOZYCJE

Są w kraju takie miejscowości, w których szanujący się rodak powinien być przynajmniej raz w życiu. Na przykład w Warszawie, jeśli rodak pochodzi z prowincji...

Do takich miejscowości, w których trzeba być należą poza tym: Zakopane, Krynica, Gdynia, Wrocław, Częstochowa, Ciechocinek, Gdańsk, Poznań, Jelenia Góra, Hel, Jastarnia, Nałęczów, Kudowa, Karpacz i tak dalej.

Jeśli rodak posiada aparat fotograficzny, to może się uwiecznić na tle „Daru Pomorza” w Gdyni, albo na tle „Blyskawicy” na tymże Wybrzeżu Kościuszkowskim w tejże Gdyni.

ofiarować znajomym czy krewnym kompiot popielniczek firmowych z nadmorskich hoteli.

Producentów pamiątek wpadli wszakże na bardzo racjonalny pomysł, aby ożywić nie tylko rzeczy dekoracyjne, ale również miały znaczenie praktyczne.

PAMIĄTKA Z...

można teraz w kioskach z pamiątkami spotkać na przykład długopisy z napisem „Pamiątka z Gdyni”...

Pomijam już fakt, że w większości są to po prostu rzeczy brydki. Wypisano na ten temat morze atramentu, niejednemu felietonista zarobił sporo grosza...

Królowanie tandety jest groźne. Dotyczy to bowiem nie tylko oprawy pamiątek, ale i ich strony użytkowej.

bilicy rozdzielczej. Jest wreszcie kole sterowe z termometrem. Posiadam takie kole sterowe. Aby było śmieszniej wyprodukowała je firma Antoniego Juszcza...

Jan Kaczmarek (Wrocław), występujący w radiowym programie „60 minut na godzinę”, zgromadził kolekcję takich pamiątek z termometrami...

Uzbrajanie tandety pamiątkarskiej w dodatkowe, użyteczne akcesoria jest działalnością świadomie szkodliwą.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Trzy tygodnie temu jechałem wieczornym pociągiem po śpiesznym do Lipska, w warunkach teoretycznie najlepszych...

Tydzień temu jechałem znów do Lipska i — wyobraźcie sobie — trafiałem na ten sam wagon.

się zapchane cuchnącymi odpadkami po śniadaniach kilku pokoleń pasażerów.

WODA UCIEKŁA!...

doinwestowane. Ale wiem też, że opróżnianie śmietniczek nie wymaga inwestycji, a wysokie opłaty za miejsce sypialne...

Kilkanaście lat temu byłem w Bułgarii jako gość tamtejszego związku pisarzy.

właśnie w naszych „Ogłoszeniach” — garść wrażeń i uwag z tej podróży, między innymi i taką uwagę, że w sofijskim muzeum sztuki bułgarskiej...

brodatych, hieratycznych postaci — bohaterów, dostojników, popów. O tę uwagę obracezili się studenci w naszym mieście...

przyjemna. Oto gość z Republiki Federalnej Niemiec pisze, a drukuje to „Polityka” (i dobrze, że drukuje)...

Wątpię, czy nasi młodzi rodacy, mieszkający w RFN, pójda do autora tych uwag i zapowiedzą mu, że nie wyjedzie więcej do Polski.

ĆWIEK

SPORT

MINIMALNIE NIECELNIE

Dla opisania tego, co się dzieje na boisku wymyślono szereg sformułowań, które mają usprawiedliwić piłkarską indolencję naszych zawodników.

Sprawozdawcy ekscytują się stosunkiem rogów bitych przez obie drużyny, usiłując przekonać widza, wbrew temu, co dzieje się na boisku, że drużyna, która bije więcej rogów...

Teraz, po kolejnej klęsce polskiej piłki nożnej, coraz głośniej mówi się, że trzeba jak najszybciej o tym zapomnieć.

A w ogóle to w sprawie kryzysu w polskiej piłce nożnej powinien się wreszcie wypowiedzieć PZPN.

BOGDA MADEJ

Załącznik nr.

461.../79

Hasło numeru: Czy zaopatrzyłeś się już w śniąg na zimę? A nuż zabraknie!

Któregoś dnia matka zony powiedziała:
— Wiessz, s jednak to niepoważnie, abys mi mówił „mamo”. No, chyba nie wyglądam na matkę takiego... hm, hm, mężczyzny jak ty?
— Przyjrzała mi się krytycznie.
— Tak... nie wyglądasz najlepiej. Zatokę we włosach nad czołem, kurcze łapki na skroniach, ile ty masz lat?
— Poczułem się nieco zakłopotany i — co tu ukrywać — dotknęty.
— Jeśli mama uważa, że jestem za stary, aby mówić do mamy „mamo”, to proszę wymyślić coś oryginalniejszego.
— Masz rację, Ale to! — zaczęłam nieszczęśliwie, ale przerwała mi głośno wykrzykując:
— Mów do mnie „ciociu”!
— Dobrze, mammo.
— Ciociu! Ależ ty jesteś niezogarnięty. Naprawdę nie wiem, jak może z toba wytrzymać moja córka!
— Od początku pomysł wydawał mi się — delikatnie mówiąc — dziwny. Przewidywałem sporo komplikacji i zamieszania, ponieważ w ciągu kilku lat matkę znadłem się już przyzwyczaić do pewnych form. Najbliższa

przyszłość, pokazała, że moje obawy nie były bezpodstawne. Któregoś dnia zjechała do nas matka krewna. Była to godna starsza pani, o której wiadomo było, że zachowuje się jako wzór taktu, delikatności i kultury. Powiadomiła wcześniej o tej

znym wzrokiem.
— A jak... hm, ciocia ma na imię?
— Elżbieta — odpowiedziała mama nieco zdziwiona pytaniem, a przede wszystkim jego formą.
— Niech Elżbieta rozpakuje moje walizki! — powiedziała ku-

Je!!! — wykrzyknęła mama z najwyższym oburzeniem.
— Może ona nie zrozumiała, że ciocia jest mamą? — spytałem nieszczęśliwie.
— Natychmiast jej to powiedz. Marsz do pokoju!
— Pomaszczawiałem.
— Bardzo kuzynkę przepraszam, ale muszę coś wyjaśnić — odezwałem się cichym głosem. — Otóż ta pani, która przedstawiła mi jako ciocię wcale nie jest... to znaczy chciałem powiedzieć, że jest właśnie jest...
— Mój kochany, niczego nie musisz wyjaśniać — pogodnie powiedziała kuzynka. — Mnie nie trzeba dużo mówić. Dziwię się tylko, że i ty ulegasz tej... dość gminnej modzie nazywania służących ciociami, babkami czy jak tam kto wymyślił. Czy nie prościej imię do nich — tak jak dawniej — po imieniu?
— Nie zdążyłem odpowiedzieć mojej godnej i delikatnej kuzynce, bo nagle doleciał do mnie krzyk zamkowych i impetem drzwi. Wybiegłem z mieszkania. Niestety, za późno. Mama była już na parterze. Wychyliłem się więc przez parcie i krzyknąłem:
— Ciociu, ciociu! Niech ciocia wraca!
Chyba mnie nie dosłyszała.

MIROSLAW KUŹNIAK CIOCIA

wizycie przygotowywałem się do niej nader starannie. W przygotowaniach wzięła udział mama, przeprosiła ciocię, biegając po całym mieszkaniu w rozwinętym fartusku. Kuzynka zjechała do nas punktualnie nawet bardzo punktualnie, ponieważ w naszych przygotowaniach uwzględniłem także wysoce prawdopodobny fakt opóźnienia się pociągu. Przywitanie było serdeczne, gorzej poszło z przedstawianiem. Zwłaszcza, że zająknąłem się na owej nieszczęśliwej „cioci”. Kuzynka popatrzyła na mamę uwa-

zyna i weszła do pokoju. Widząc lekko śmiejącą twarz mamy pośpieszyłem z pomocą. Ledwo uporaliśmy się z walizkami, dobiegł z pokoju głos kuzynki:
— Elżbieto, niech Elżbieta wyjmie z walizki mój szlafrok i połóż na łóżku.
— Ciociu! chwyciła mnie za rękaw.
— Co wy jej o mnie pisaliście w listach?
— Nic... ciociu. Naprawdę same miłe rzeczy.
— To... jak ona mnie traktu-



JAK TO ZROBIĆ, ZEBY CIĘ MIEC?

Rys. Andrzej Adamowicz

WIELORYB NA RYNKU

Przez długie lata Czerwony Rynek pełnił funkcję bazaru, na którym spotykali się kolekcjonerzy, kombinatorzy, złodzieje, hodowcy rybek w akwariach, miłośnicy muzyki i starych książek oraz ludzie poszukujący silnych wrażeń. Któregoś dnia bazar przeniesiono w okolice Wodnego Rynku, a Czerwony Rynek zamieniono w skwer. Miało to wyprawnie stanąć okazały pawilon handlowy, ale zamiary takie odepzło na czas późniejszy.
Ze skweru zasianego anemioną trawą wydzielono prostokątny plac, który zamieniono na parking, a który służył też nielegalnym przekupkom jako prowizoryczny plac targowy. Można tu było kupić warzywa, owoce, kwiaty, jajka a nawet kawałek wiejskiego sera. Na parkingu — targowisku zgodnie sąsiadowały z sobą wozy zaprzężone w konie z eleganckimi samochodami, kierowcy przepychali się do swoich samochodów między przekupkami i wszyscy sobie chwalili tę koegzystencję, bo to i samochód było gdzie postawić i kupić można było to i owo.

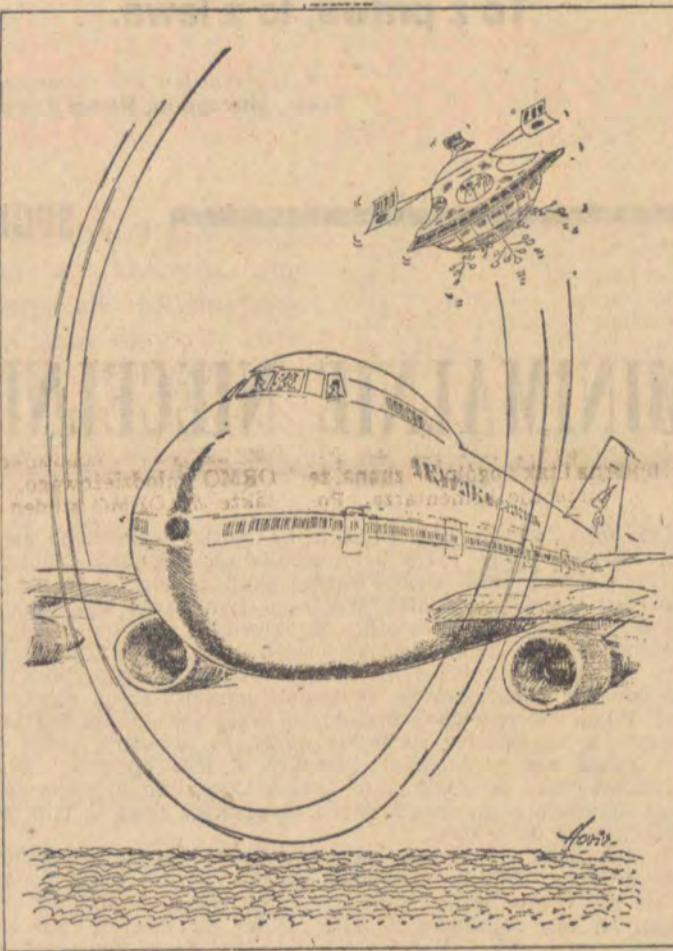
Aż pewnego dnia zajeżdżał na parking wielki samochód z zagranicznymi znakami rejestracyjnymi. Samochód był odepzobion obelgicznymi napisami, z których nieźle wynikało, że zawiera w sobie niebywałą atrakcję i tak było w istocie. Była to zagraniczna, obywatowska wystawa z jednym tylko eksponatem. Tym eksponatem jest wypchany... „siwy wieloryb” zamknięty w szklanej gablocie.

Ludzie ciekawi są wieloryba. Plac „po dychu” i wchodzi do wąskiego pomieszczenia, w środku którego stoi w gablocie wieloryb.
— E — mówią — sztuczny, z plastiku zrobiony.

Wprawdzie napis głosi, że wieloryb jest prawdziwy, waży 32 tony jest tylko mocno wyoskowany, ale mało kto w to wierzy. Przez chrypiący głośnik płynnie z taśmy magnetofonowej wyjaśnienie, co zacyt to wieloryb i skąd się wziął w szklanej gablocie, ale treści tej opowieści do uszu nie dociera i to ze względu na towarzyszące słowom szumy i trzaski. W koło wieloryba leżą liczne muszki, raki, kraby, wypchane węże (?), żółwie, ryby, raki, kraby, ale na widzach nie robi to większego wrażenia. Wychodzą trochę jakby zawiedzeni.
— E, taki to wieloryb. Czarny zresztą a nie siwy.
Tylko Czerwony Rynek przez pojawienie się wieloryba w szklanej gablocie zyskał nagłą cześć swojej dawnej atmosfery, kiedy można tu było kupić kanarkę, przegrzeć całą forę w trzy karty, napić się piwa pod kielbasę i koca i kupić niespodziewanie coś atrakcyjnego. Teraz można obejrzeć wypchanego wieloryba. Też dobrze.



HUMOR Z IMPORTU



„Paris Match”

Poglądy i opinie

ZBIGNIEW BONIEK O OBYCZAJACH NA BOISKU

— „Jest taka teoria ligowa. Mecz w Łodzi z Widzewem można wygrać. Wystarczy wysłać z trybu Bojka. To nieprawda, mój zespół wygraju również jak mam kiepski dzień. Ale, co to znaczy „wysłać”? Bojka wiem aż nadto dobrze. Dostaje „piaster”, który na mnie plusuje, wysyła i ubliża mi przez cały mecz, staje na nodze, niekiedy obija. Jak się trafią trzy, cztery takie mecze pod rząd, to nierzaz nie wytrzyma, to znaczy

nie potrafię odpowiedzieć pięknym za nobelnie w sposób niezrozumiały dla sędziego. Bo odpowiedzieć muszę, inaczej życie na boisku całkiem by mi zbrzydło.
(...) No więc najlepszą dostają „piaster”, które umiętą szybko biegają i bezpardonowo uderzają. Można tylko jeden feler, nie umieją grać w piłkę...
Jedną rzecz jest w tym wszystkim niezrozumiałą. Po meczu podajemy sobie ręce, jakby nigdy nie. To niepojęte!”
(Sztandar Młodych)

A. ŁOZOWSKI O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ

„Plasuje się ta piłka na poziomie Mady Cypru, bo już dziś przykład nie sęga, podobnie jak Bulgarii!”
(Sztandar Młodych)

Na lamach „Tygodnika Powszechnego”, „Polityki” i „Sztandaru Młodych” rozgorzał spór na temat stosunków piłkowych. Powodem do tego stała się książka Michałiny Wiśniewskiej, „Sztuka kochania”. Kinga Wiśniewska-Roszkowska w recenzji z tej książki drukowanej na lamach „Tygodnika Powszechnego” wystąpiła z tezą, że stosunki piłkowe można mieć tylko po ślubie. Daniel Passent w „Polityce” wystąpił przeciw takiej tezie. Podobnie zrobiła na lamach „Sztandaru Młodych” Aleksandra Jakubowska. Kinga Wiśniewska-Roszkowska odpowiedziała polemiskiem na lamach „Polityki” podtrzymując swoje mniemanie, że te

Kiedy to robić?

rzczy owszem, ale przedtem ślub. Bez ślubu nie ma Młkowskich rozkoszy. Teraz w sranki polemiczne na lamach „Polityki” wstąpił sam Jerzy Urban, dając odpór Kingze Wiśniewskiej-Roszkowskiej.
Polemicy starają się wytlumaczyć zwolennicze sformalizowania stosunków piłkowych, że przed-... obok... pozamateriańskie stosunki piłkowe były, są i będą. Chodzi tylko o to, aby ludzie traktowali się w tych sprawach jako pełnoprawni partnerzy i aby podchodzili do tego z kulturowym tematem, nie nie będąc z dyskusji tej jak z wieści innych na turę. Ale wszystko wskazuje na to, że dyskusja ta ma raczej J. Urban, kiedy pisze, że „dyskusja typu: „czy koleżanka odbiera krowom mleko” byłaby nieco spóźniona”. Nie o tym dziś trzeba dyskusować.
Są kraje, w których za stosunki pozamateriańskie czy przedmateriańskie dają baty lub nawet ucinają głowę. Ale czy my musimy tam szukać inspiracji?
Może zamiast wracać w przeszłość lepiej byłoby podyskutować nad tym, jak młodych nauczyć kultury seksualnej.

E.Y.G. ZYG.

S. Z. PERACZ

DONOS

Z Gdańska nam donoszą, że w tamtejszym nowo otwartym hotelu „Helvetiusa” zakład fryzjerski otwiera swoje podwoje o godzinie 11, a natomiast kiosk „Pewexu” o godzinie 8.00. Nasz korespondent wyraża zdziwienie i pyta, co klientom „Helvetiusa” rano jest bardziej potrzebne: golenie czy kupowanie w kiosku „Pewexu”?

Nasz korespondent nie ma jednak racji. Rano o godzinie 8 golenie jest konieczne, ale jeśli do tego zagranicznej maszyny do golenia

TELEWIZJA NIE JEST DO SŁUCHANIA

stwierdził w niedzielę wieczorem w konkluzji, po piętnastominutowym przemówieniu na ten temat, reżyser Jerzy Gruza.

Trudno nam było tego nie usłyszeć, choć, faktycznie, do słuchania to nie było.

nięcie wody w miejskiej sieci wodociągowej.”
„W tym czasie — głosił dalej komunikat — nastąpiła smiana kierunku przepływu wody w sieci...”
A nam przez długie lata tłumaczone, że w Łodzi brakuje wody i trzeba ją sprowadzać z Piłicy wodociągami Sulejów — Łódź Tymczasem okazuje się, że 6 października 1979 roku woda popłynęła w przeciwnym kierunku czyli z Łodzi do... Sulejowa. Wiadę w Łodzi odkryto nowe źródła wody.

W. N.

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

KACZA ZUPA

część II. Kolacja u Maruchów

Mieszkanie gajowego składało się z jednej, sporej izby. Centralnym elementem był wielki zblity z białych desek stolik, dwa krzesła, ustawione pod dłuższą ścianą pokoju zaś stojące w kącie niewielka szafa dopełniała umeblowania. Gajowy wskazał mi miejsce, gdzie mogłem połozyc torbę podróżną i postawił strzelbę.

Sirzecha, która okazywanie zakupiłem od emerytowanego leśniczego była moją dumą. Była to wyrobowana na polowaniach niemiecka dwururka kaliber 12 z niemieckim grzewczowym zamkiem, bardzo finezyjnie wykonana kolba. Dziś już takich okazów w sklepie nie uświadczysz. Z wielką pieczołowitością ustawiłem ją pod ścianą, zabezpieczając ją walizką przed ewentualnym uszkodzeniem. Jutro miałem ten znakomity sprzęt sprawdzić na pierwszym moim polowaniu.
Pokoń nie był zbyt dobrze oświetlony, zaś ja tak zajęty celowaniem i łokowaniem sprężutu, że dopiero po chwili zauważyłem

na jednym z łózek leżącego mężczyznę. Spal.

— Strażnik towałki Marucha — powiedział gajowy wskazując ruchem głowy na śpiącego — Brat — dodał po chwili.

Dochodziła 22-ga. Spłacy poruszył się i nie otwierając oczu cypuścił odziane w białe kalety nogi na podłogę przy łóżku. Teraz dopiero otworzył oczy i zauważył mnie. Wstał i podszedł podając rękę na powitanie.
— Marucha — wymruczał nemiślnie otwierając usta.
Jego brat, gajowy, wyjął z szafy i postawił na stole talerz z kilkoma kawalkami śledzka oraz butelkę wódki. Z przedśionka przyniósł trzy stoiki i ustawił je wokół zastawionego porządkiem stołu. Byłem zmęczony długą podróżą i wcale mi nie było do blęszady. Odmawiać byłoby jednak niegrzecznie.
Zasiadliśmy do stołu. Gajowy Marucha sprawnym nawykłym widać od lat ruchem ręki, nalał wódkę w trzy szklanki.

ODKRYCIE



W ubiegły piątek (6 października 1979 roku) w łódzkich dziennikach ukazał się komunikat Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego, w którym zawiadamiano mieszkańców Łodzi, że „ze względu na konieczność przeprowadzenia robót konserwacyjno-remontowych wodociągu Sulejów — Łódź zostanie zmniejszone w dniu 6 października 1979 roku w godz. 7—10 godzin

(edn.)